Cena 80 groszy

SŁONIMSKI: DWA KOŃCE ŚWIATA (POWIEŚĆ) — BERENSON: ODRUCH — GIDE: POWRÓT Z Z.S.R.R.

Dziś 8 stron

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Prenumerata kwartalna zł. 9.— wraz z „Pologne Littéraire" i przesyłką pocztową. Konto w P.K.O. nr. 8.515 Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 73 Administracja Warszawa, Królewska 13 W Warszawie prenumeratę można zgłaszać telefonicznie nr. 223-04

TYGODNIK

Nr. 7 (693) Warszawa, Niedziela 7 lutego 1937 r. Rok XIV

KSAWERY PRUSZYŃSKI

zdjęcia AUTORA

LISTY Z HISZPANJI

Od specjalnego wysłannika „Wiadomości Literackich"

DROGA DO BILBAO *)

Tuluza, w styczniu 1937.

Opuszczam Madryt w sobotę, 9 stycznia, popołudniu. Przedwczoraj atak powstańców zajął szereg wsi po lewej stronie szosy do Escorialu („carretera de Coruna"), wczoraj wyjechaliśmy raz jeszcze samochodem na front. Trzeba było bardzo daleko okrążać, żeby dojechać do Escorialu. U stóp szarej Guadarramy padał mokry śnieg, przed monasterem Filipa II koczowali żołnierze Mangady, w przedsionkach klasztoru kopciły ognie w mosiężnych „braserach". Pojechaliśmy drogą powrotną jak zwykle na Rosas, tam gdzie ją wczoraj przecięto. Trzeba było jednak skręcić wbok ku

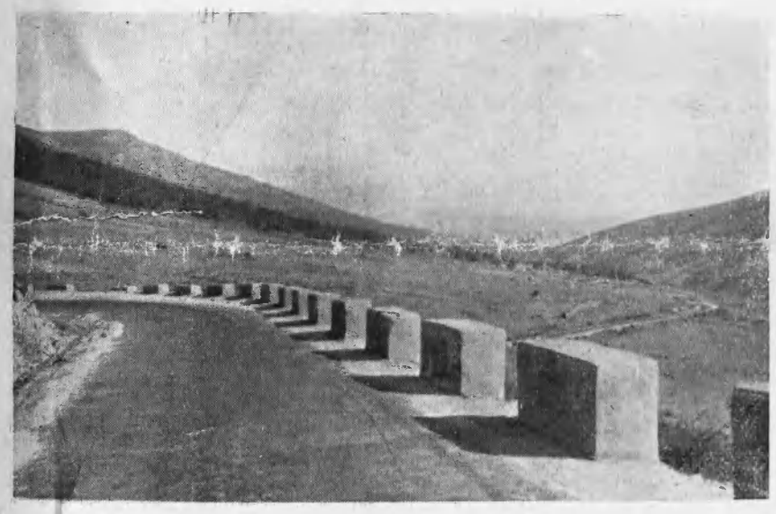

Droga do Escorialu

pierwszej naszej drodze na Colmenar Viejo. Sypano gorączkowo okopy. Jutro i pojutrze będą nowe walki o te drogi, o pierwszą, będącą już pod obstrzałem, praktycznie dla rządu przeciętą, o drugą, której przecięcie zadecyduje dopiero o sparaliżowaniu na tej linji komunikacji. To będzie jednak trudne, bo ta druga droga pnie się wysoko, wśród skał i głazów, bronić ją łatwo, zdobyć ciężko. Sukces wczorajszy powstańców niewiele więc jeszcze znaczy.

Z powrotem, za Fuencarralem, jedziemy do obszernej „finca" duque'a del Infantado. O piętnaście kilometrów od Madrytu obszar blisko 10 000 hektarów, z czego 6 000 zupełnie nieuprawnych. Sfalowane niewielkie wzgórza jak w Casa del Campo, oliwki i karłowate dęby rosnące w odległości kilkunastu, czasem więcej, metrów od siebie, między tem wysoka zżółkła teraz trawa, rzadkie krzaki, kępy łozy. Podmadrycki krajobraz niezwykle podobny do widoków z filmu „Afryka mówi". Teren łowiecki. Do zamku dojeżdżamy gdy jest już ciemno. Bardzo długo trwają pertraktacje o dopuszczenie nas do wnętrza, wreszcie uzyskujemy pozwolenie. Istotnie, było czego strzec. Jest to niewielka rezydencja, jedna z wielu tego magnata co się zowie, zawiera tylko cztery czy pięć sal umeblowanych rzeczami wartościowemi, ale tych kilka jest godnych widzenia. Najpiękniejsza jest wielka sala rycerska. Opowiedziano nam że książę, budując pałac, natrafił gdzieś na walący się, opuszczony kościół gotycki z XIII w., że go kamień po kamieniu rozebrał i nanowo tu złożył, tworząc z jego wnętrza jedną salę nowego pałacu, dostosowując cały plan budowy do rozmiarów zrekonstruowanego kościołka. „Z drzwi do zakrystji zrobił odrzwia do kominka" — mówi po drodze milicjant tutejszy, co

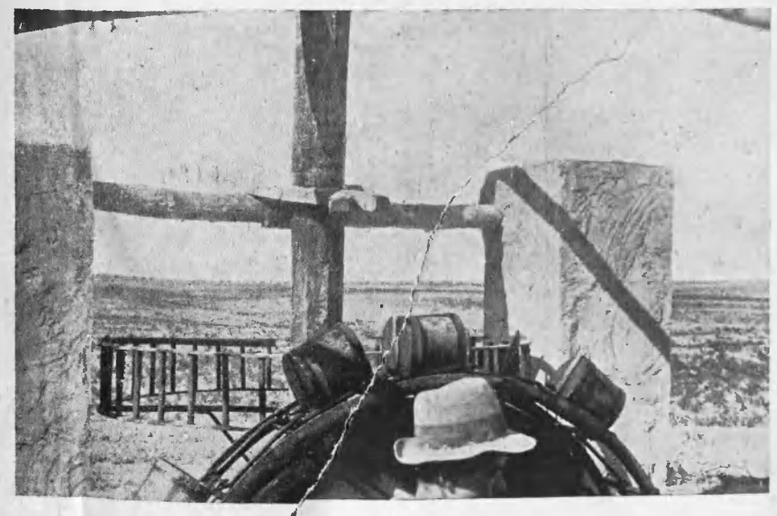

Urządzenie nawadniające, jak w XIII w....

*) Por. „Arriba España de la tierra!..." w nr. 679, „W oblężonym Madrycie" w nr. 681, „Bombardowanie Madrytu", „Jak Madryt się broni" i „Żywi i umarli" w nr. 684, „Pod gałami historji" i „Na drogach zniszczenia" w nr. 685-6 „Wiadomości Literackich".

Korespondencja niniejsza została nadesłana z Tuluzy, gdzie autor zatrzymał się w drodze do Bilbao.

W najbliższych numerach: „Kwestji katalońskiej nie będzie" oraz „...y entonces, Don Quijote"...

nie wydało nam się pomysłem zbyt sympatycznym. A jednak kościół zamieniony w salę rycerską, pełen zbroi, ze swymi świętymi z XIII w., wyciosanymi w kamieniu, ze swym gotykiem surowym a już łagodzonym, zmiękczonym wpływami sztuki arabskiej, był cudem prawdziwym, był pozatem cudem jednej z najtrudniejszych rzeczy jaka istnieje: rekonstrukcji zabytku. Kto pamięta różne pseudozabytki Krakowa, choćby spudłowaną rekonstrukcję Wawelu, ten wie jak niesłychanie trudną rzeczą jest rekonstrukcja epoki. Ten magnat hiszpański, dwunastokrotny grand, książę, hrabia, markiz, wczuł się w ducha epoki, z której wyrósł, lepiej niż dziesiątki profesorów. Jeden z synów księcia Infantado służy dziś w lotnictwie po stronie rządowej. Nie wiem, czybym zostawił w przyszłości 6 000 hektarów urodzajnego ugoru pod samym Madrytem, ale wiem, żebym z duque'a del Infantado zrobił wielkiego kustosza wszystkich skarbów sztuki i przeszłości jakie tylko posiada Hiszpanja, powierzył ufnie w jego ręce trudną pieczę nad tem wszystkiem co się dziś nazywa „patrimonio del pueblo".

Fragment Escorialu

Do Madrytu wróciliśmy o zupełnym zmroku; samochód, wjeżdżając na Gran Via, pod gmach „Telefoniki", zazgrzytał na całych zwałach cegły, szkła i tynku. Znowu bombardowano Madryt, a tak było cicho tego dnia na froncie. W gmach telefonów padło siedem pocisków armatnich. W pokoje cenzury i „home" dziennikarski nie padł coprawda żaden, ale cenzorzy potracili zupełnie głowy. Miałem mieć samochód do Walencji na jutro. Nic nie wiedzą. Odsyłają do jakiegoś garażu. Niema. Idę do trzeciego. Trzeci jest już na przedmieściach, mówię z ludźmi, i po raz pierwszy od bardzo wielu tygodni, od pierwszych dni oblężenia Madrytu, ponownie wyrasta jakiś ferment. „Gdzie były nasze samoloty gdy tamte nadleciały? Dlaczego niema z naszej strony ataku? Dlaczego Madryt musi wszystko znosić?".

Masyw Escorialu

Czwartym garażem, do którego idę jest garaż robotniczy. Mówią mi per „ty", panuje zupełny spokój. Owszem, wezmą mnie jutro, ale oni ewakuują tylko do Albacete. Z Albacete muszę się sam postarać dalej. Nazajutrz rano udaję się do adjutantury gen. Miaby. Mieści się ona w wielkim gmachu na ulicy Alcala, koło zbombardowanej dokładnie dzielnicy. Nowa centrala wojskowa ulokowała się w gmaszysku o cyklopicznej granitowej budowie. Jest to dawny urząd ceł Karola III. Podziemia są jak sklepienia fortec czy klasztorów, pokoje podziemne wysłano dywanami, opatrzono w telefony i światło. Tu żadna bomba się nie dostanie. W adjutanturze urzęduje oficer zupełnie „ancien régime". Wynajduje mi inny samochód. O drugiej, za dwie godziny, odchodzi sztafeta ministerstwa X. Dadzą mi miejsce w tym samochodzie. Sztafeta dziś wieczorem będzie w połowie drogi do Walencji, nazajutrz nowa sztafeta zabierze mnie stamtąd do prowizorycznej stolicy rządu. Oficer notuje zezwolenie na mojej przepustce.

Ministerstwo X. jest nieco nauboczu. Miało piękny fronton ozdobiony kolumnadą sześciu kolumn doryckich, grupami po dwie kolumny. Teraz fronton trzyma się na czterech, dwie pozostałe zwalił celny wystrzał armatni z bateryj pod Cerro de los Angeles. Istotnie, jest samochód. Podwożą mnie innym samochodem żeby zabrać moje rzeczy. Idę jeszcze na mój ostatni, za obecnym pobytem w Madrycie, kartkowy chudy obiad. W stiukowej sali hotelu „Roma" rzędami siedzą milicjanci. Dziś znowu obiad bezmięsny. Zupa chlebowa i trochę soczewicy. Niespełna po godzinie jestem już w samochodzie, wtulony między własny bagaż a grubego jegomościa który także korzysta ze sztafety. Samochód wyjeżdża przed dziedziniec, jakieś samoloty — trudno dostrzec jakie — latają nad miastem. Gdzieś za Rosales, dzielnicą wtuloną w Casa del Campo i Miasto Uniwersyteckie, huczą raz jeszcze armaty. Samochód wjeżdża w ciasne, brudne ulice przedmieścia Vallecas, i naraz zaczynam się cieszyć, że już opuszczam ten Madryt, przyfrontowy, ponury, bezzmienny, straszny tylko zupełną przypadkowością swego niebezpieczeństwa, powolnem nastawaniem swego głodu. Samochód wypada na pola zorane, czerwonawe i płowe, biegnie doskonałą szosą, mija błękitne tablice z napisem „A Valencia".

Mój towarzysz widocznie cieszy się również, ale nie tylko cieszy, bo i irytuje zarazem. Dlaczego dopuszczono żeby nieprzyjaciel podszedł tak blisko? Trzeba było go zatrzymać na linji Getafe. Wczoraj, gdy nadleciały samoloty nieprzyjacielskie, nie było żadnego rządowego! Gdzie się one podziewają? Coprawda, te samoloty rosyjskie tyleż są warte co rosyjskie samochody ciężarowe... „Co warte są ich samochody ciężarowe, te zielone, duże, pan wie? Pan, zagraniczny dziennikarz?". Typ zaczyna mnie irytować. Więc nie, nie wiem. Sądzę, że dużo. Komunikacja z Walencją, dowóz żywności, amunicji, odbywa się przecież temi samochodami. Właśnie mijamy całą ich karawanę. Olbrzymie rosyjskie „gruzowiki" walą wspaniale szosą madrycką. Huk napełnia powietrze, mój towarzysz przestaje mówić.

Droga przez Casa del Campo

Stado baranów na bulwarach madryckich

Ale przestaje tylko na chwilę, już nachyla się nade mną i tłumaczy. Przedewszystkiem samochody tego typu są na drogi miękkie, rozmokłe, rosyjskie, przeciwieństwo asfaltowych autostrad Hiszpanji. To mniejsza. Ale wie pan, wiele te wspaniałe ciężarówki sowieckie pochłaniają benzyny? 50 litrów na 100 kilometrów! „A pan wie co to znaczy?".

Przez chwilę bardziej rozumiem tego pana. Tak, to dużo znaczy 50 litrów na 100 kilometrów, gdy Madryt jest od Walencji o blisko 500, gdy brak benzyny

daje się odczuwać, gdy cała ta wojna, z jej tankami, samolotami, trójmotorowcami, pochłania masy benzyny. Te wielkie samochody budowano na rozmach, na pokaz, na imponowanie. Niestety, nie budowano ich na oszczędność. Ale mój sąsiad, przekonawszy mnie na tem polu, przechodzi do innych spraw. Czy wiem że za każdy taki samochód, za każdy tank, za każdy nabój, zapłacono w Rosji bardzo słono? Złotkiem, gotóweczką? „Si, senor, si".

Wszystko co mówi mój towarzysz mieści się jeszcze narazie w ramach objektywizmu, ale już poznać że mówi to człowiek którego wszystkie sympatje są po tamtej stronie. Mijamy dziesiątki samochodów rozbitych, porzuconych w rowie — on zaraz odtwarza nieład i zniszczenie, które było skutkiem pierwszych dni i miesięcy „swobody". Lecimy doskonałemi szosami, te szosy dała dyktatura, powiada. Potem zwraca się do szoferów i pyta, ile płacą w Madrycie ich

Płonie wielki ogień na kominie, a my z Madrytu nie jemy, ale żremy łapczywie. Ładna służąca manczegska śmieje się, my jemy dalej. Czy w Madrycie był głód? Głód i nie. Ale przez dwa miesiące coraz bardziej rzedły porcje mięsa, aż znikły zupełnie, nie było tłuszczy, brakowało cukru, coraz rzadszy stawał się chleb. Inni dziennikarze zagraniczni korzystali bądź z obfitych zapasów swych poselstw, bądź, jako partyjni, z komunistycznej gościny towarzyszy. Moje kartki obiadowe otrzymałem dopiero niedawno. Nie byłem dosłownie głodny, ale w pokarmie brakowało wszystkiego co pożywne. Odsuwam talerz, czuję się nieprzyjemnie ociężały, i naraz robi mi się wstyd. Wstyd nie tego, że opuściłem Madryt, ten Zbaraż Hiszpanji, — pojadę do osaczonego Bilbao, na północ, samolotem, — wstyd że się tak z tego cieszę. Zwlekamy się ociężale po schodach, nagórę, do swych pokojów. Pokoje są małe i brudne jak w żydowskim zajeździe da-

I nie wiem cz... opuszczam Motillę jakby przybity ... się bardzo niechętnie ze sw... wczorajszym towarzyszem drogi. Zm... zmieniliśmy samochód, powoli zmieniamy i krajobraz. Rozległe ... la spadają w g... głęboki kanjon jakiejś rze-

ki, której przeciwległy brzeg fortyfikuje ... kilkuset chłopów. Jeżeli Madryt padnie... Ale potem zaczyna się droga przez dolinę walencjańską, huertę pełną gajów pomarańczowych i winnic. Małe pola, jak strzępy i szmatki, wszystkie

Mały barcelończyk w „mono"

grodzone kamieniami. Murv kamienia polnego niwelują teren w stopnie i tarasy, podwyższyły go w jednem miejscu, obniżyły w innem. Jest to kraj drobnej, niewielkiej, ale samowystarczalnej własności, kraj zamożnego walencjańskiego chłopa.

Wszczyna się spór o przyszłość tego kraju. Będzie czy nie będzie kolektywizowany? Dziwnym trafem intelektualista, wtłoczony między mnie a mego wczorajszego towarzysza, i ten właśnie towarzysz, ów od krytyki samochodów sowieckich, tworzą wspólny front, że będzie, ja zaś z szoferem i milicjantem jesteśmy innego zdania. Że nie powinien być kolektywizowany. Zajeżdżamy do miasteczka. Jest niedziela rano, i w małem café siedzą chłopi. Dyskusja przenosi się z samochodu do nich. Nie, oni nie są za kolektywizacją, raczej nie, tu nie będzie kolektywizacji. Mają być przecież kolektywizowane latyfundja i ziemie źle gospodarowane, a czyż tutaj

ju, — jest o to trudno, — schodzim... gadać w jakiejś kawiarni. Możn... wszystkiego dostać. Słońce i pogod... placu gra muzyka, faluje tłum. Znow... dość, wielka radość że się nie j... Madrycie. I znowu ten sam co już ... raj wieczorem, dziwny wstyd tej ... ralnej — czemuż więc tak zawstyd... cej? — radości.

Dwa dni czekania na listy pol... ce, papiery, formalności, szwędani... po mieście, w którem wszyscy jak... szwędają, odchodzenia od rewolucji ... ny, nocnych strzelanin, Madrytu. ... Capua rewolucji, beztroska, obże... się, niezdrowa. Ten komandor ze ... mi szlifami na granatowym rękawie ... duru, to dowódca eskadry samo... bombardujących, Malraux. Ten pan ... rakułowym kołnierzu, dziwnie bru... zatłuszczony, Erenburg. Wystawy ... powe aż pęcznieją masłem, rybam... krem, czekoladą, mlekiem, ale ws... wiemy, że wieczorem bywa trud...

... z ...aljonu im. Thälmanna, Ludwig Renn (na lewo)

Żołnierz z bataljonu im. Thälmanna

...owu okazuje się ...ciokrotnie, czte...edtem. Jakże to, ... towarzysz, prze... towarów był w ...ziś jest monopo...e to, skoro pań... nadmierny zysk? ... i wszystko jest ...iedzą jak to wy...nda natrafia tu... ...datny. „Mam już ...vania i nacjonali-

wnego Wołynia. Na dziedzińcu oberży mijamy samochód, który zwraca naszą uwagę, którego nie było przed chwilą. Jest to czarna limuzyna, silna, krótka, bez żadnych rewolucyjnych godeł. Tylko na szybie okna błyszczy czerwony napis, drobny ale wyraźny: „Embajada Sovietica". Znów myślę o Madrycie i znów jest mi przykro.

*

Rano wcześ trzeba wyruszyć. Na rynku Motilli stoją te same rosyjskie „gru-

Wojska z Walencji wypoczywają przed bitwą na bulwarze Recoletos

źle gospodarują? Co najwyżej grunta tych, co nie głosowali za Frontem Ludowym, odbierze się ich rodzinom i odda bohaterom rewolucji.

Intelektualista z „Socorro Rojo" zapewnia że kolektywizm będzie powszechny. Wczorajszy mój towarzysz jest przepojony kaznodziejstwem. Tak, niezawodnie będziecie skolektywizowani — tłumaczy chłopom. „Musicie być", „wszystko wam zrobimy", „będziecie". Nad kubkami kawy w małem café zaczyna robić się milcząco. Jakby ponuro, nawet

chleb, że wszystko drożeje, że są ... gonki. Ta świadomość przyśpiesz... mal i podwaja radość życia. Wszys... cieszą. Wielki plakat na plaza de ... na przypomina że nieprzyjaciel ... Terruel, o 150 km od Walencji. ... plakat rewolucyjny nie zatrzy... przy sobie mniej ludzi niż ten w... Rewolucja powinna się modlić ż... to miasto uderzył choć jeden poc... matni, choć jedna bomba lotnicz... ci ludzie stali się podobniejsi d... tych z Madrytu. Ale niebo połud...

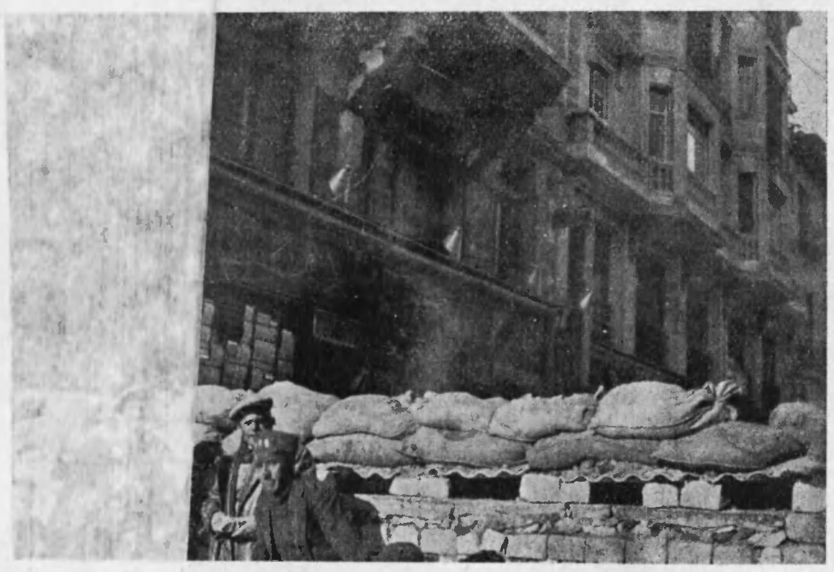

Barykada

Barykada

...zowania — pada znad kierownicy. Pan ... krótką, tłustawą rę... bardzo, bardzo wielu ma ...st ten pan przy mnie, ...terjalnym samochodem ... niewątpliwie ...rawia swoją robotę? ...ch, których słowa za... pewnej miary, a mi...nie wyzyskują błędy, ...e.

...jentujemy się po skło...żamy dokądś. W dwóch ... światełek widnieje uliczka niewielkiego puebla, Motilla. Jesteśmy jeszcze w pełnej Manchy. Rozprostowujemy nogi po niewygodnem stłoczeniu między walizkami, składamy rzeczy w komendzie postojów, idziemy do gospody. Jest to niewielka, grodzona murem „posada", — tem słowem o polskiem brzmieniu określa się tutejsze oberże, — niczem owa, pamiętająca Don Kichota, w której spędziłem noc w niejakiem Toboso... Prawda, to jeszcze zostaje do opisania, to jeszcze jedno z tych wrażeń, których kolejność pomieszały wydarzenia. W oberży jest wielka rzecz: można jeść. Nad ogniskiem kapie rumieniący się tłuszcz z połci młodego barana, pachnie atmosferą imć pana Reya i sieura Rabelais. Przypętuje się naraz jakiś intelektualista. Jutro i on ma jechać z nami. Ten znowuż odrazu jest na „ty", co brzmi dużo mniej przyjemnie niż „tykanie" robociarza ze służby ewakuacyjnej, tego co chciał mnie dostawić do Albacete. Intelektualista jest biologiem, był cztery lata w Indjach i wygłasza o nich głupie komunały. Jest tu przy Instytucie Transfuzji Krwi, założonym przez lewicę kanadyjską „Socorro Rojo". Tłumaczy mi cele Międzynarodowej Pomocy Czerwonej, owej organizacji która robi tu niewątpliwie dużo dobrego dla rannych, ale też niewątpliwie jest próbą zacieśnienia miłosierdzia do granic klasowości. Mówię mu coś na ten temat, przeciwstawiam bezklasowy i ponadnarodowy Czerwony Krzyż. Intelektualista — tak sam się przedstawił: „estoy intelectual" — zapewnia gorąco że „Socorro Rojo" jest apolityczne: przecież, mówi, nie czyni różnicy między anarchistami i socjalistami, komunistami ortodoksyjnymi i nawet trockistami. A zatem nawet ranny w boju trockista może być w drodze wyjątu — pewne to nie jest — opatrzony przez „Socorro Rojo"...

zowiki", które wzniecały wczoraj zainteresowanie mych towarzyszy drogi. Kontroluję z szoferami tamte informacje. Zgadza się. Tych 50 litrów na godzinę, to koszt, który może zaciążyć na szali wojny. Szoferzy krytykują samochody i z innych powodów, które przy mojej dorywczej znajomości hiszpańskiego nie pozwalają uchwycić dokładnie sensu owych technicznych braków. Odczuwa się u tych ludzi jeszcze coś więcej. Jakiś zawód, jakby rozżalenie, zniechęcenie. Niepytani, zaczynają wychwalać ciężarówki niemieckie. To, to maszyna. Nie wiem czemu, ale myślę że żołnierze na froncie madryckim takby nie mówili.

Wylot ulicy Alcalá na Puerta del Sol po nocnem bombardowaniu

groźno. Tylko mój wczorajszy towarzysz gramoli się z powrotem do samochodu z jakąś cichą, wyraźną radością.

Droga jest coraz bardziej pełna samochodów, małe pola coraz piękniej uprawne, jak ogrody, jak w Niemczech. Wieje zimny wiatr — bliskość morza, jaśnieje wielką plamą Walencja. Samochód wyładowuje mnie przed pałacem, na którym czerwienieje świeżą farbą szyld ministerstwa. O kilkanaście kroków stąd w innym pałacu o chłodnych salach — ministerstwo spraw zagranicznych. Moi polscy znajomi z cenzury czekają mnie od paru dni, witamy się jak starzy przyjaciele, idziemy do hotelu szukać poko-

jasne i ciche. Rozpogadza, ro... rozzłaca.

*

Pociąg do Barcelony odchodz... rogodzinnem opóźnieniem, w dr... rabia do tych czterech trzy da... życzenie baskijskiego ministra w gabi... cie Largo Caballero, otrzymam ... sty do rządu Euzkadi, tego p... Basków, rządzonego przez katol... cjonalistów i konserwatystów, k... wiedziało się po stronie Madr... celona jest zupełnie inna niż ta... wrześniowych. Niema ludzi z karabi... mi na ulicach, mniej plakatów, ... niej. Wyższe ceny żywności i ... w sklepach. Kursują nowe taks... malowane w barwy anarchistyc... wono-czarne, będące teraz prz... stwem związku narodowego C. N. T. Prawie cały przemysł prócz ... nego i zupełnie drobnego jest ... czony i pozostaje w zarządzie ... tów. Madryt był wojenny, Wal... troska. W Barcelonie rewoluc... na się organizować, żyć. W in... ale i tutaj także mało myślą ... dzieje się **tam.** Z r. 1918 chcie... skoczyć w drugi rok piatiletki

I nawet nie wiem czy min... ko, wbrew wojnie, Pirenejom ... tysiącom kilometrów, nie znale... tymczasem w régime'ie piatile... szcze sztandary anarchistyczne ... wienie anarchistyczne, — salut dwóch rąk złożonych w uścisku i wy... nad głowę, najdziwaczniejsze c... wolucyjnych pozdrowień, — ... jeszcze czapki frygijskie u r... kurtki szoferskie czekistów ... skiego, ale wieje nad tem w... tu w Barcelonie, po raz pierws... dalszych etapów rewolucji, „w... ścia lat później". Na wielkim plakacie ulicznym postępują obok siebie ... dzie — prezydent Katalonji C... konsul sowiecki Owsiejenko. ... ny plakat: autograf Owsiejen... kursów rosyjskiego pod pr... Owsiejenki. Lokal młodzież... stowskiej rozgromiono, z Ma... chodzi wiadomość o zawiesz... anarchistów. 7, 8, 9 listopada ... śnie, surowi ludzie w czerwo... czapkach, osadzili pochód ... Ale odtąd przyszło wiele tan... samolotów, wiele amunicji i ... Przyszły wielkie ciężarow... samochody,

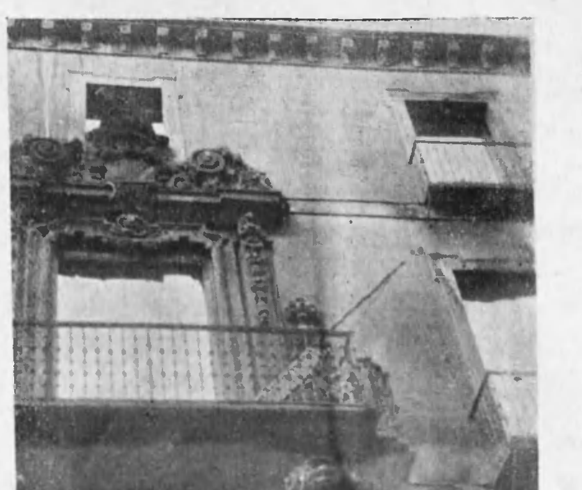

Ze starego domu ... stała ty...

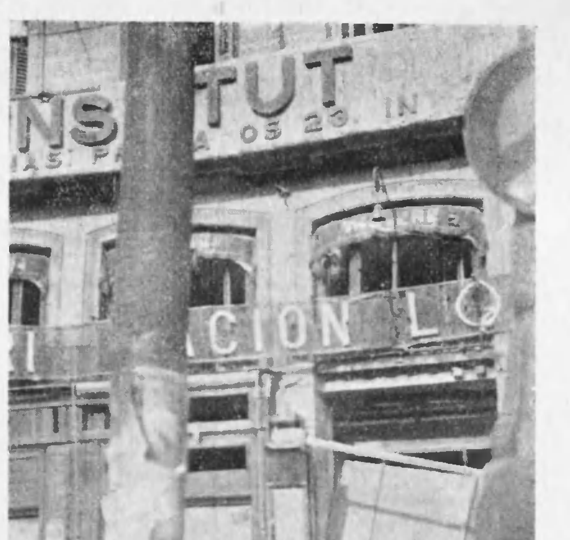

...twa wojny ... szyby

o których z niechęcią mówiono w Motilli. Trzeba było za to wszystko zapłacić, i zapłacić nie tylko pesetą złotą w złocie. Tanki i samoloty, karabiny maszynowe i armaty zanim zetrą się z faszyzmem, druzgocą po drodze coś innego jeszcze. Anarchistycznego konkurenta, socjalistycznego odstępcę, trockistowskiego zdrajcę. To nie tylko zapasy doskonałego masła i mniej doskonałych konserw alimentują Lewant hiszpański. To jeszcze cały bagaż myślowy, pojęcie socjalzdrajcy, herezji i „ukłonu", czystki partyjnej i generalnej linji, załadowano w portach Odesy i Leningradu. To stare porachunki tamtej rewolucji, wzamian za tanki, wzamian za techników, wzamian za samochody i za masło, zaczynają regulować stalowym uściskiem sprawy rewolucji hiszpańskiej.

W witrynie jakaś twarz znajoma, człowieka którego nigdy nie widziałem za życia. Teraz już nie żyje. Zapominam jak się nazywał niegdyś. Od lipca ub. r.

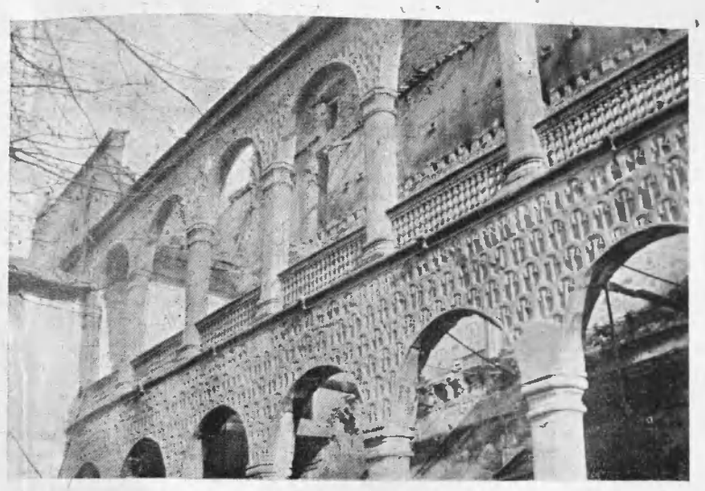

Arkady pałacu książąt l'Infantado w Guadalajara; pałac ten został spalony przez bomby powstańcze

znany był pod nowem przezwiskiem: „negusa" milicyj aragońskich. Na tysiącach fotografij prasy paryskiej, londyńskiej, madryckiej, uśmiechała się ta twarz zwykłego milicjanta z kolumny Durrutiego, istotnie dziwnie podobna do nieszczęśliwego władcy Etjopji i temu właśnie podobieństwu zawdzięczająca swą popularność. Fotografowano wszędzie „negusa", a oto „negus" już nie żyje, padł na linji. To nie jest wielka strata, nawet żadna. Takich jak on podniesie się ty-

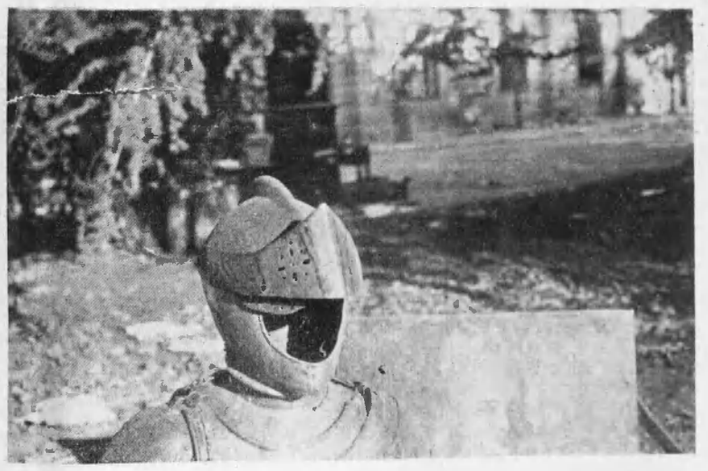

Po bombardowaniu: zbroje i obrazy w ogrodzie pałacu ks. Alby

siące z zapomnianych puebli, i jak on tysiące położy się w płytki grób. Ale ten człowiek-maskota, ludzka Baśka Murmańska, przez swój trał podobieństwa bardziej uważany za wcielenie przypadku niż za żywego człowieka, teraz po śmierci uświadamia i uprzytamnia raz jeszcze ogrom strat ludzkich tej wojny. Przypominają mi się odwiedziny co parę dni w formacjach przyfrontowych.

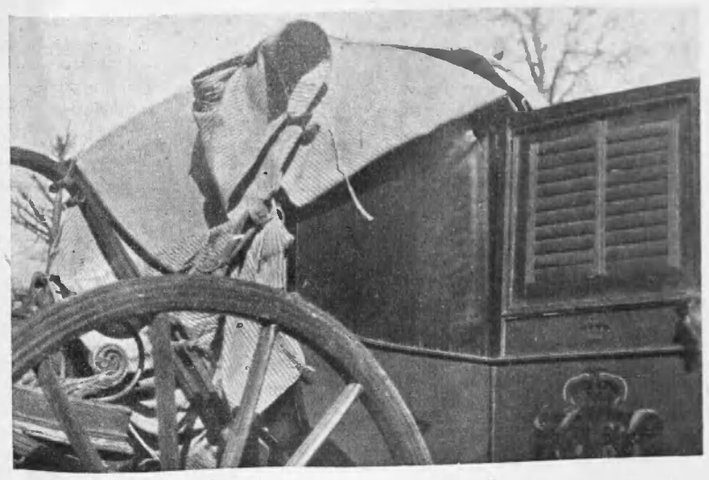

Po bombardowaniu: osłonięte pokrowcami pojazdy książęce

Zawsze brakowało, zawsze i szybko ubywało znajomych twarzy. Ostatnim razem zaszedłem znowu w X... do jednej z kompanij. Kwatera była ta sama i lokal ten sam, na drzwiach ten sam napis kredą: „Kompanja...". Wewnątrz poznał mnie tylko jeden, niepoznany przeze mnie, człowiek. Nie byłem w kompanji od sześciu dni. Jeśli wrócę do nich za trzy tygodnie — czy kto mnie wogóle pozna?!

Jeszcze jedna wiadomość o śmierci, jak „negus" znajomego i obcego. Dziwna rzecz. Padł na froncie najlepszy zastęp anarchistów, padł ich człowiek, który wziąwszy komendę w ręce, ocaliłby Madryt — Durutti. Po anarchistach partja,

która najwspanialszą ekipę ludzką oddała śmierci w boju, to trockiści. Wyklęci z III Międzynarodówki, uczniowie Zinowjewa, prześladowani już i tutaj, dali z siebie najwięcej. Padł Joaquin Maurin. To ten właśnie, znajomy i obcy. Autor najdziwniejszej książki jaką czytałem w życiu. Człowiek który rozwój wypadków przewidział niesłychanie jasno, aż do końca. Marxizm jako doktryna wydaje czasem takie dzieła, logiczne, przemyślane, operujące faktami, zapadające aż w drobiazgi, ale nie spuszczające nigdy z oczu głównych linij, właściwych celów. Książka Maurina „Ku drugiej rewolucji" była może najlepsza z tej serji. Pisana w okresie po załamanej rewolucji górników w Asturji, za wspólnych rządów Gil Roblesa i Lerroux, masona i katolika, w erze represyj, zgłębiała przyczyny porażki rewolucji, analizowała błędy socjalistów, komunistów, anarchistów, dawała istotny — o, wcale nie demagogiczny — obraz wadliwej struktury kraju, sumowała konsekwencje klęski gospodarczej i wreszcie konstruowała, aż do szczegółów, cały montaż przyszłej rewolucji. Wszystko było w tej książce odsłonięte, jak maszynerja zegarka. Rok i osiem miesięcy temu można było korzystać z jej obliczeń. Maurin dostrzegł i wpoił w swych ludzi przekonanie że nowa rewolucja się załamie, jeśli się nie oprze na niezwykle szerokiej płaszczyźnie, jeśli nie ogarnie nie tylko marxistów, ale nawet nacjonalistów, nawet katolików, nawet konserwatystów, jeśli nie zrobi miejsca dla demokratów, dla drobnej, średniej burżuazji, nawet dla przemysłu. Ludzie Maurina zrozumieli to dobrze, bo czytali książki, ludzie ze świata Queipo de Llany nie zadali sobie innego trudu niż umowy o dostawę tanków.

Dziś baskijscy katolicy i zachowawcy walczą po stronie czerwonych. Jadę do dziwnego kraju Euzkadi, z jego najlepszem duchowieństwem w Hiszpanji, tradycjami i świętym dębem sądów królewskich, ze wspaniałą heraldyką pieczęci na „salvoconduccie", z wpisanem weń uroczyście „de". To „de" dano mi na oko, nie pytając, z własnej inicjatywy. Przy polskiem nazwisku wygląda oczywiście dość głupio. „Cóż pan chce, oni tam, w Bilbao, to lubią i bardzo na to zważają!" — odpowiedziano mi w ministerstwie Alvareza del Vayo. Otóż nawet tych szlachciców i tradycjonalistów potrafili postawić w okopach przeciw sobie tępi wodzowie prawicy. Dziś tej ślepoty nie zatrze największe bohaterstwo karlistów czy kadetów, a

nie wiemy czy jej skutki naprawi siła. Kiedyś, jeszcze bardzo niedawno temu, wystarczało na to tak, zdaje się, niewiele. Trzeba było trochę patrzeć, nieco rozumieć, a także — choćby czasami — czytać.

W walizce z książkami mam jeszcze tę świeżą książkę Maurina z jej przedzi-

Fragment ruin pałacu książąt l'Infantado w Guadalajara

wnie jasnym wykładem i logiczną argumentacją. Myślę o tem że mózg tego człowieka musiał być jak wnętrze zegarka, dokładny, niezawodny, mądry, myślę jak to było gdy taka zwyczajna sobie i głupia kula z mitraljezy wżarła się w te zwoje i tryby, myślę jak to być mogło

Fronton pałacu ks. Alby przed spaleniem go przez bomby powstańcze

gdy rozluźnił się uchwyt dłoni u zamka karabinu a mętność mgława stanęła między oczami i światem. I myślę o tym prostym cudzie, że pomimo tej kuli przypadkowej, zwykłego hebla rewolucyjnej walki, nie przestał żyć i funkcjonować tok myśli wyciśniętych czcionkami tej książki, podobnie jak nie przestały się posuwać wskazówki zegarka wprawione w ruch wczoraj przez kogoś, którego dzisiaj już niema. Jak przed rokiem, kieruje jeszcze społeczną strategją rewolucji, dowodzi zza grobu.

Rano odchodzi pociąg do granicy. Za dwa tygodnie będę tu z powrotem, ale za dwa tygodnie może już być inaczej, jak teraz jest inaczej niż było trzy miesiące temu. Od czego zależy los tej wojny? Los wojny nie zależy od obrony Madrytu. Los wojny zależy od tego, czy armja rewolucyjna, czerwona, będzie zdolna wykonać atak flankowy, na którymkolwiek innym froncie, aragońskim lub południowym, Guadalajary czy Talavery. Czy wyrzuci na fronty rezerwat tych olbrzymich mas ludzkich jakie wciąż posiada. Madryt może się bronić: nie może atakować. To nie od Radzymina, ale znad Wieprza wyszła polska kontrofensywa 1920 r. Tylko że tu jesteśmy świadkami nieufania niczemu i nikomu. Tylko znowu tanki sowieckie strzegą się anarchistów, podcinają grunt trockistom.

W wielkim bloku frontu ludowego, w zwartej bryle rewolucji ciężki kilof pomocy rosyjskiej zaczyna sobie wyrębywać własną dziedzinę, poszerzać swą bezpośrednią podstawę, rozbudowywać przyszłe władztwo centralnego komitetu wykonawczego, w niem przyszłe dowództwo sekretarza generalnego partji i...

I sterujemy z tem zwycięstwem ku nowej kolektywizacji par force, ku nowym piatiletkom w cztery lata, nowym procesom Ramzina i Zinowjewa, nowej deifikacji genjalnego wodza, nowemu podziałowi dziejów świata i kultury na okres przedstalinowski i postalinowski. Masy?

Tak, masy tego nie widzą. Czy masy wiedzą co to termidor, żeby mogły w zarysach Kremla odnaleźć nowe dekoracje wiecznie tej samej tragedji konwentu? Czy potrafiłyby w swych mózgach zbliżyć obie epoki, zestawić je z tem co się tutaj zaczyna przygotowywać? Nie, masy tego nie widzą. Ale przywódcy widzą to już bardzo dokładnie. Dostawca tanków chce mieć nową rewolucję proletarjacką, wyciosaną na obraz i podobieństwo pierwszej. Na obraz i podobieństwo tego co sam zrobił. **Taką, albo żadnej.** Być może, że — dziś jeszcze nie, ale za tydzień, za dwa i za trzy usłyszy rzucone mu w odpowiedzi: **żadną, jeśli taką.**

Troski pierwszej linji bojowej nie są dziś troskami zaplecza. W Santa Maria de Alameda, w Buitrago przed Sommosierrą, w Pozuelo, błogosławiony jest każdy tank sowiecki, każdy cekaem. W Barcelonie, za te tanki w Pozuelo i za te cekaemy u wylotu Sommosierry trzeba już płacić. Dzieje się rzecz dziwna. Każde morze i każda cieśnina, wszystkie Skategaty i Bosfory, granice, góry i tysiące kilometrów, dzielące Hiszpanję od kraju Sowietów, oceniane z pierwszej linji bojowej, były ciężarem i utrudnieniem, były odczuwane jako przeszkoda na drodze rewolucji. Nie wiem, czy tu zdaleka od frontu a bliżej zasięgu wpływów nie staje się inaczej. Te morza i cieśniny, te dziesiątki granic i tysiące kilometrów zaczynają stawać się ochroną rewolucji hiszpańskiej. Przestrzeń sprawia, że może ona jeszcze toczyć się własnemi drogami, że mimo wszystko, istnieje jeszcze wspólny nurt tej rewolucji, że jeszcze anarchiści nie gniją w izolatorach, a zwolennicy formuły „socjalizm w całym świecie" nie zostali wytraceni jak zwierzęta. Niewiadomo zresztą, kto tu widzi dobrze, ludzie z Pozuelo czy ludzie z Barcelony, niewiadomo, szczęściem czy też nieszczęściem rewolucji hiszpańskiej jest to że jej protektor jest tak daleko. Być może że pytanie to można sobie sformułować inaczej: co stanowi o zwycięstwie każdej rewolucji? Oręż w który ją uzbrojono, czy zapał którym płonie, tanki czy entuzjazm wybuchu, niczem niezmącone poczucie że walczy się o przyszłą i niezawodną wolność czy poprostu spokojna żołnierska pewność

*

Droga wije się szlakiem bombardowanym niedawno, granicę mija się niepostrzeżenie, znikły komitety ingwilacyjne, kontrola odbywa się szybko, uprzejmie, sprawnie. Potem jest mały pociąg francuski który sunie wolno, przystaje na każdej stacji. Wchodzą ludzie jakby oderwani przed chwilą od pracy w winnicach i ogrodach, malutkich, pasemkami tarasów krających góry, wypielęgnowanych jeszcze staranniej i pilniej niż tamte pod Walencją. Ludzie pytają o Madryt i mówią o Madrycie. To przecież także katalończycy (trancuscy), także robotnicy i chłopi, także głosowali na Front Ludowy. Na tych ludzi czekają w Hiszpanji. Ci ludzie, czy pójdą? Nie, ci ludzie nie pójdą. Ci ludzie zrobią wszystko. Będą wygadywali na rząd Bluma że jest małoduszny, będą chwalili innych, że walczą, będą tam delegowali własnych i cudzych bezrobotnych, będą

Wnętrze spalonego przez bomby powstańcze pałacu ks. Alby w Madrycie

że nie zabraknie amunicji w okopach?

Pani Andrée Viollis przybyła niedawno do Walencji i napisała tu dla dzienników jakieś zdanie o Napoleonie, „faszyście avant la lettre". Zdanie jest niewątpliwie niemądre. Można oczywiście widzieć w Napoleonie człowieka który ustawił młynek swojej karjery nad grzmiącym potokiem rewolucji, ale niewątpliwie to on, ujarzmiwszy ją, uderzywszy w lewicę i prawicę, w wygnanych książąt i jakobinizujących generałów, rozniósł jej zasady po szerokim świecie pobojowiska. Ten sam spór może z powodzeniem odżyć dziś o Stalina, bo niewątpliwie armatura rosyjskiego przemysłu wojennego, dzieło piatiletek, a więc dzieło Stalina przeciw Trockiemu, wyposaża teraz Hiszpanję i umożliwia jej opór, daje to czegoby nie mogła np. dać Rosja 1925 r. Ale jednocześnie z tą pomocą przesuwa się przez Pireneje

Po bombardowaniu: książki z bibljoteki cesarzowej Eugenji, krewnej Albów

cień który zatrważa na przyszłość. Sawinkow, bunt marynarzy kronsztackich i — jeszcze raz powróci to nazwisko — Zinowjew. To wszystko są nazwy bardzo rosyjskie, to prawda, ale któż zaręczy że kiedyś nie przyjdzie w ich miejsce podstawić nazwisk hiszpańskich? W momencie gdy ważą się losy wojny, gdy chodzi o to czy rewolucja jest w stanie, jak kilka miesięcy temu, wyrzucić na front olbrzymie masy, — a rewolucja ma te masy, jedna Katalonja bez żadnej trudności może dziś jeszcze rzucić 100 000 żołnierza, i to żołnierza przeszkolonego, — takie myśli i obawy na przyszłość mogą wiele zaszkodzić...

podziwiali ochotników z Perpignan, którzy biją się w Aragonji, złożą się na zabawki dla dzieci hiszpańskich, wezmą udział w meetingu. Ale zapytani konkretnie, zawsze odpowiedzą, że ani sami nie pójdą, ani Francji w to nie wpakują. Zawsze się w takich razach znajdzie tysiąc racyj, i wszystkie doskonałe. „A czy Hiszpanie poszli nam na pomoc w r. 1914?". Czy sami nie robili wtedy interesów z Niemcami, nie zarabiali na wojnie? Czy koniecznie musieli dostarczać materjału do greuel-propagandy faszystów? Czy sami nie mogą sobie radzić? Ludzie wysiadają potem o dwie, trzy stacje dalej. Interesy tych ludzi. „gens du terroir", nie prowadzą bowiem daleko. Wsiadają na ich miejsce nowi i tacy sami, i ich rozmowy są tak podobne do tamtych jak podobne są jedne winnice do drugich. Nie, ten kraj i ci ludzie nie przejdą Pirenejów, wy w Hiszpanji na nich nie liczcie.

Po bombardowaniu: uratowana karoca rokokowa

Jest mrok, i wszystko roztapia się w ciemności, ciemność za oknami zamazuje wszystko. O takiej porze w Madrycie poczynają najpierw grzmieć baterje narodowców z Cerro de Los Angeles, potem biorą górę ciężkie działa rządowe z parku Retiro, i zaraz zaczyna grzechotać ogień karabinów maszynowych w Casa del Campo, Rosales, Puente de los Franceses. Wielkie miasto przeżywa swe bohaterstwo powszednie. Jakie to się wydaje dziwne i niezrozumiałe że dziś nie jest jak codzień. Madryt. Madryt.

Ksawery Pruszyński.

ANTONI SŁONIMSKI

DWA KOŃCE ŚWIATA*)

POWIEŚĆ

Rozdział siódmy, w którym Robinson warszawski znajduje swojego Piętaszka

Dwudziestego dnia samotności zdarzył się wypadek o niezwykłej doniosłości. Szwalba przez całe swe życie przyzwyczajony był do czytania rano „Kurjera Porannego". Czemuż miał teraz wyrzec się tego przyzwyczajenia? Jedyne ustępstwo, na jakie się zdobył, była tylko zmiana pisma. Czyż miało sens czytać rzeczy już kiedyś przeczytane? Ponieważ nigdy nie czytywał „Kurjera Warszawskiego", sprowadził sobie komplet tego pisma z r. 1938 i co rano przy śniadaniu czytał jeden numer. Nic się już nie miało zdarzyć na świecie, więc czy nie wszystko jedno, o jakich zdarzeniach czytać rano leżąc w łóżku? Właśnie przeczytał o tem, że Liga Narodów groziła wprowadzeniem sankcyj przeciw Włochom spowodu ich agresji w Palestynie, gdy nagle wyostrzony słuch pochwycił najwyraźniej jakąś melodję. Ktoś gwizdał. Nie ulegało wątpliwości, była to melodja: „Do ciebie płyną te rzewne tony, o wymarzony, cudny śnie"... Gwizd ten, dość zresztą fałszywy, przebijał się przez tykotanie osiemnastu zegarów, przebijał się przez nastawioną przed chwilą płytę amerykańskiego jazzbandu. Szwalba zerwał się z łóżka i wyjrzał na plac Marszałka. Nie było nikogo. Ubrał się czemprędzej w byle co, a właściwie nie zupełnie w byle co, bo w swoją najładniejszą angielską pyjamę. Choć wiedział, że panna Szczypek nie umiała gwizdać, chwycił się przecież za serce, szepnął: „Czyżby to ona?" — i wybiegł na ulicę. Gwizd powtórzył się znowu. Teraz anonimowy amator muzyki gwizdał najwyraźniej, „Czy pani mieszka sama?"... Melodja ta, którą później nieraz jeszcze w życiu przeklinał, wydała mu się graniem anielskich lutni. Artur Rubinstein i Huberman ze skrzydełkami, unosząc się wśród obłoków niebieskich, nie mogli bardziej czarować melodją. Szwalba zamarł w bezruchu. Od strony Krakowskiego szedł człowiek. Szedł prosto w jego stronę. Właściwie szedł niezupełnie prosto i [illegible]y być ściśli, zlekka się zata-

— [illegible]owiek! — krzyknął Szwalba.

— [illegible]łowiek! — odkrzyknął nieznaj-

[illegible]lba z bijącem sercem, ciężko [illegible]ąc oddech, patrzał na idącego. [illegible]omy był niskiego wzrostu, miał [illegible]czerwony nos, małe zlekka zamglone oczki. Ubrany był dość dziwnie. Miał [illegible]bie perkalowy damski szlafrok, na [illegible] drewniane trepki i melon na [illegible] Gdy zbliżył się już na odległość [illegible]roków, przystanął, zdjął melon i [illegible]wiedział poprostu:

— Chomiak jestem.

Szwalba wymienił swoje nazwisko. Patrzyli przez chwilę jeden na drugiego w zupełnem ogłupieniu, ale już po chwili zaczęli bełkotać z pomieszania i radości.

— Niech ja skonam, — krzyczał Chomiak, — żywy facet, na rany boskie, pieska twoja niebieska, skądżeś się tu wziął frajerze?

— Bracie, braciszku, mój kochany panie, to pan też żyje! — wykrzykiwał Szwalba.

Klepali się po ramionach, dotykali, jakby chcieli sprawdzić czy to nie przewidzenie, wreszcie siedli na brzegu trotuaru, zmęczeni z emocji. Ani śmieszny ubiór, ani wyraźny zapach piwa, bijący od tego odnalezionego w pustce świata bliźniego, nie odstraszał Szwalby. Chomiak patrzał z równą radością na Szwalbę. Po chwili jednak wzrok jego nabrał pewnej nieufności.

— Wszystko to cacy, ale zdaje się, że szanowny pan jest mojżeszowy?

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Po chwili Chomiak rozpogodził się znowu.

— Mniejsza z tem, jak innego niema, niech będzie i mojżeszowy. Daj bracie pyska i napijmy się.

Wyjął z kieszeni szlafroka butelkę „gorzkiej angielskiej" i podał ją Szwalbie.

Z długiej rozmowy, która odbyła się już nagórze w apartamentach Szwalby, okazało się że Chomiak istotnie nocował dn. 30 czerwca w tej samej szopie na podwórzu fabrycznem.

— Zaczęło się od tego — opowiadał Chomiak, — żeśmy rozbili ze szwagrem sklep kolonjalny na Koszykowej. Dopląłało się jeszcze paru facetów, i popijawa była, za przeproszeniem, odpowiedzialna, bo co oblewać, ja się pytam, jak nie koniec świata? Opowiadali, że Żydzi mają w nocy wytruć cały naród. Naród był bardzo zgorszony, więc wytrąbiliśmy po dwie butelki czystej. Mnie osobiście, proszę pana szanownego, zgubiła jakaś nalewka porzeczkowa, co ją ten kupiec musiał robić na denaturacie. Wzięliśmy spory ładunek różnych wódek, ale nam jakieś cwaniaki chciały wszystko odebrać. Szwagier dał dęba, przeleźliśmy przez płot, i tam mnie cholera zamroczyło. Jak się kropnąłem na jakieś worki z cementem czy z inną produkcją, tom się zbudził rano, kiedy już było po wszystkiem. A rano było w całem mieście jak, za przeproszeniem, na pustyni. Taka mnie żałość wzięła, że chodziłem tylko od kupca do baru i z powrotem i zalewałem robaka.

— Ale co pan robił tak sam jeden, czy nie myślał pan o tem, co się stało, czy nie przerażała was myśl, żeście jedynym człowiekiem na całym globie?

Szwalba, jak widzimy, przeszedł z „pan" na „wy", ale mimo to dość trudno mu było nawiązać kontakt z odrębną i bardzo indywidualną osobowością Chomiaka.

— Zainteresowanie też miałem — tłumaczył Chomiak. — Najwięcej mnie ciekawiło co jest w różnych mieszkaniach. Wprowadziłem się nawet na stałe do mieszkania radcy Rygiela na Senatorską. Chodziłem tam jak pracowałem na budowie, bo jestem pracownik budowlany, za przeproszeniem, z fachu. Bardzo mi się tam podobało. I pluszowe meble i obrazy olejne. Tylko pluskwy są. Na pluskwy rady niema. Mówili, że wszystko wyzdycha od tych pieskich Niebieskich Promieni, a pluskwom rady nie dało. Odrazu tak sobie pomyślałem, jak tylko zaczęli gadać, że wszystko na świecie zginie. Wielką też ciekawość miałem co do jednej broszki z turkusem, co ją niby pracownica domowa miała ukraść u szwagra a ja podejrzenie miałem, że ją sam wyniósł do jednej co mieszka na Bednarskiej. Rewizję tam zrobiłem, i broszka się znalazła. Wierz tu ludziom.

Mimo wszystko Chomiak nie chciał pogodzić się z faktem, że cała ludzkość wyginęła. Z uporem trzymał się swej wiary, że to jedynie jakaś rewolucja i „ewakuacja", że ludzie są, tylko pouciekali, a ci co nie zdążyli, zginęli od gazów niemieckich czy bolszewickich, czego dokładnie Chomiak nie precyzował. Wspominał również o tem, że radjo mogło odegrać niebagatelną rolę w tej zagładzie rodzaju ludzkiego. Rozmowa nie kleiła się jakoś, może z tej przyczyny, że kleiły się oczy pana Chomiaka, który po wypiciu dwu butelek czerwonego rozwalił się na łóżku Szwalby i zachrapał potężnie.

Szwalba siedział przy nim jak pielęgniarka przy chorym, a raczej jak młoda matka przy nowonarodzonem dziecku. „Na mnie ciąży teraz obowiązek opiekowania się tym oto towarzyszem niedoli. Muszę zwalczyć nałóg pijaństwa, muszę go wykształcić i wprowadzić w świat piękna" — tak dumał ambitnie Robinson, wsłuchany w potężne chrapanie swego Piętaszka. Pierwsze dni współżycia zatrute były oparami alkoholu. Szwalba w żaden sposób nie mógł nadążyć, nie wytrzymywał tempa tej pijatyki, przerywanej snem i jedzeniem. Okazało się, że Chomiak ma jeszcze jedną namiętność prócz alkoholu i śpiewu. Tą pasją była wędlina. Chomiak wybadał już wszystkie masarnie warszawskie i wiedział, która mniej, a która więcej ucierpiała w czasie masowej ucieczki ludności. Wyruszał rano już zlekka podpity i wracał z zapasami „mortadeli", „szynki w pęcherzu" i najrozmaitszych kiełbas. Każda taka porcyjka wędliny powinna była według podstawowych zasad medycznych zabić Chomiaka, bo z wyjątkiem suchej kiełbasy wszystkie te mięsiwa cuchnęły padliną. Być może, że wielkie ilości alkoholu niwelowały trujące właściwości zepsutego mięsa, dość że pan Chomiak nie tylko nie podupadł na zdrowiu ale okazywał coraz większą żywotność i energję. W tym stanie ducha nie wystarczała mu sentymentalna melodja: „Do ciebie płyną te rzewne tony..." i przerzucił się na: „Wołga, Wołga, mat' radnaja"...

Na skutek upałów panujących już od paru tygodni Szwalba postanowił wyjechać w góry albo nad morze. Długo tłumaczył Chomiakowi, że musi zmienić tryb życia, że wódka go zabije i że w ten sposób zginie połowa ludzkości, na którą składało się przecież tylko ich dwu. Istotnie, pewnego dnia rano Chomiak zachorował. Objawiło się to w sposób niewątpliwy. Chomiak nie wypił rano tradycyjnych dwu większych i poprosił o szklankę herbaty. Szwalba, obładowany podręcznikami lekarskiemi, czuwał przy łożu swego przyjaciela. Zaryzykował nawet przyrządzenie lekarstwa. Przesiedział parę godzin w aptece na Mazowieckiej i gdy wrócił, przeraził się stanem Chomiaka. Tętno było słabe i szybkie. Biedny pracownik mularski walczył ze śmiercią. Silna natura przetrzymała jednak tę próbę, i po paru ciężkich dniach, w czasie których Chomiak doznał porażenia mięśni ocznych i wszystkich klasycznych objawów „butylismus", pacjent wstał o własnych siłach i po raz pierwszy poprosił o kieliszek wódki. Prośba była nieśmiała, a wychudzona i blada twarz Chomiaka wzbudziła tkliwość w sercu Szwalby. Od tej choroby stosunek ich uległ zmianie. Dotąd Szwalba był manekinem do przepijania, koniecznym elementem pijaństwa, gdyż nie było jeszcze na świecie pijaka, który wolał pić sam niż w towarzystwie. Szwalba musiał wysłuchiwać monologów Chomiaka i relacyj z jego wizyj, które były dla niego zdecydowanie niepochlebne. Zaczynało się to zwykle od słów: „Widzę cię wdole a ja ptak nad tobą wgórze"... Najbardziej męcząca była w tem pijaństwie ciągła niepewność nastroju Chomiaka, coś w rodzaju huśtawki uczuciowej. Raz biedny Szwalba znajdował się nadspodziewanie wysoko, to znów zjeżdżał wdół. W rozmowach z pijanymi niezmiernie trudno jest utrafić we właściwy ton, a raczej dość szybko zająć stanowisko zgodne z podrażnioną i zmienną ambicją pijanego. Chodziło naprzykład o zegary.

— Teraz będziemy rozbijać zegary — zapowiada Chomiak i patrzy prowokacyjnie w oczy Szwalbie.

Szwalba wie, że nanicby się nie przydały wszelkie perswazje, godzi się więc i powiada:

— Czemu nie, jak masz ochotę to ozbij sobie, Romek, ze dwa trzy, bo i tak dosyć tego na świecie, setki tysięcy tego jest w Warszawie, a my tylko dwaj.

— Dlaczego dwa albo trzy? Wszystkie zegary! Rozumiesz pan, panie Szwalba? U mnie albo wszystkie albo żadnego nie dotknę.

Teraz Szwalba nie wie czy powiedzieć, żeby rozbił wszystkie, czy żeby wogóle nie rozbijał. Decyduje się na pierwszą myśl i powiada:

— Wal wszystkie, nic się nie krępuj, mogę się obyć bez nich.

Szwalba sądzi, że w ten sposób uzyska aplauz i ułagodzi sytuację. Nic podobnego.

— Pan mi pozwalasz, panie Szwalba? A kto pan jesteś, że pan mi możesz tu pozwalać albo zabraniać, ja się pytam? Za takie rzeczy to ja w mordę biję, ale nie ciebie Heniek, bo jesteś mój brat, bo ty mnie rozumiesz. Ty jeden.

I oto w najmniej oczekiwanym momencie Szwalba zostaje przywrócony do człowieczeństwa, awansuje błyskawicznie, staje się najbliższą, serdeczną istotą. Teraz stosunki się unormowały. Od czasu wyzdrowienia Chomiak stał się nieśmiały i małomówny. Nie chodził już po wędliniarniach, ale przecież co rano, po wypiciu do niedawna znienawidzonej herbaty („szczyny reemigranta"), Chomiał znikał gdzieś na dobrych parę godzin. Szwalba, zaciekawiony temi tajemniczemi wędrówkami, poszedł kiedyś niepostrzeżenie za swym przyjacielem: Chomiak wszedł do gmachu Tow. Zachęty do Sztuk Pięknych...

Wieczorami dwaj przyjaciele na wyciągniętych przed kawiarnię Ips kanapach leżeli pod gołem niebem i w ciepłe wieczory letnie prowadzili długie dyskusje na temat sztuki minionego świata.

Chomiak w chorobie nabrał mistycznego stosunku do życia, ale zwierzył się Szwalbie że ma poważne wątpliwości religijne.

— Pierwszy raz, uważasz, przyszło mi do głowy, że coś jest nie w porządku po wypadku jednego mojego znajomego, co był za szofera przy taksówce. Ślizgo było, i jechał powoli. Na placu Trzech Krzyży rękę odjął od kierownicy, żeby czapkę zdjąć przed kościołem, i akurat wtedy zarzuciło go na inny wóz, rękę za przeproszeniem, złamał i szkody sobie zrobił na trzysta złotych. Jaka to sprawiedliwość, żeby właśnie w taką chwilę go zarzuciło? Ten szofer nazywał się Jakubiak i od tego czasu więcej przed kościołem czapki nie zdejmował. I co pan myślisz z nim było? Wygrał dwa tysiące złotych na loterji. To już prędzej wierzę w metampsychozę czy jak tam. Pewna żona dyrektora teatru we Lwowie, gdzie miałem robotę przy przerabianiu Wielkiego Teatru na Mały, opowiadała, że pod ziemią jest dwadzieścia miljonów ludzi.

— Umarłych? — spytał Szwalba, aby podtrzymać rozmowę.

— Nie, oni żyją. Krasnoludki je nazywają czy jak ich tam. Każdy człowiek zmienia się w takiego krasnotypka a potem przechodzi w innych facetów, czy nawet w kobitę albo zwierzę. Znałem jednego szewca na Oboźnej, który musiał być kiedyś niedźwiedź lodowaty, bo ryby jadł świnia, z przeproszeniem, na surowo. Jakoś mi się nie wydaje, żeby mogło być wszystko jak na kazaniu w kościele, bo przecież po końcu świata miał być sąd ostateczny. Jeżeli teraz wszyscy ludzie wyginęli, to chyba już się ten sąd odbył, za przeproszeniem, a o nas zapomnieli. Przecież drugi raz dla nas dwóch nie będą specjalnie w trąby grać i całą awanturę robić nanowo. Chociaż zdarza się, że sąd czasem o kimś zapomni. Nie daleko szukając, ze mną raz się to wydarzyło.

W tem miejscu Chomiak nagle zamilkł, uważając widać, że mimo absolutnego braku władz i organów policyjnych, lepiej o takich sprawach nie wspominać.

— Ciotkę miałem religijną bardzo i u niej byłem na wychowaniu. Jak ją kiedyś okradli, to tak opowiadała: „Już koło Świętego Jana zauważyłam, że się jakiś koło mnie kręci. Przy Wizytkach to mnie nawet potrącił. Dochodzę — opowiada — do Fary i widzę że ten co za mną szedł do tramwaju skoczył. Coś mnie tknęło i przy Karmelitach sięgnęłam się za kieszeń, a tu portmonetki niema. Dopiero na Trzy Króle zauważyłam, że całą spódnicę mi łachudra jeden żyletką rozpruł". Bardzo była nabożna ta ciotka, ale nic ją dobrego w życiu nie spotkało. Ciągle ją okradali. Co poszła do kościoła, to złodzieje jej wszystkie meble wynosili. Aż jej się kupować naprzykrzyło.

W kawiarni Ips był spory zapas lodu i różnych butelek z lemonjadami, więc gwarząc tak, dwaj przyjaciele popijali napoje chłodzące, ale Szwalba uważał pilnie, czy nawrócony alkoholik nie dolewa sobie mocniejszych trunków. Chomiak chodził na wystawę do Zachęty i bardzo się przejmował malarstwem. Szwalba starał się kształcić smak artystyczny swego przyjaciela i zaprowadził go do mieszkania pewnego adwokata warszawskiego, który miał obrazy „kapistów". W tem mieszkaniu nocowali nawet przez cały tydzień, bo było chłodno i łóżka były wygodne. Po tygodniu Chomiak powiedział, że dłużej nie wytrzyma, że możliwe, że kolory są i że faktura i że plener, ale czuje że jak dłużej będzie się na te czerwone nosy patrzył, to mu wróci gust do alkoholu.

Nie bardzo się również powiodły próby zaznajomienia Chomiaka z problematyką rzeźby współczesnej. Chomiak zgadzał się ze wszystkiem, potakiwał, ale pewnego razu wziął ze składu aptecznego na Mazowieckiej pudełko kremu „Nivea" i posmarował nim ciało leżącego bojownika za wolność na pomniku Wittiga przed Zachętą.

— Leży tak jakby się opalał, — powiedział Chomiak, — to niech się przynajmniej kremem posmaruje.

Nie lepiej było z literaturą. Kiedyś Chomiak wziął z pokoju Szwalby tom pewnego głośnego powieściopisarza. Nazajutrz wrócił z książką w ręku bardzo podniecony i niezbyt dobrze się trzymając na nogach.

— Przeczytaj sam, jakżeś taki mądry: „Po wytłamszonej grudzie jesiennego błocka, jak po wyciurach i wysmarkach, ciapał drobnemi kroczkami, mlaskał w tem zupsku ckliwem i rozpamiętywał jak to mu Koźlak tę rękę mokrą wcisnął niby jałmużnę, jak mu obleśnie mrugał prosto w mózg kaprawemi oczkami". No i co? Można taką rzecz bez trunku, bez pomocy mamy wódzi wytrzymać? Świętyby, za przeproszeniem, nie wytrzymał.

Jak widzimy, trudno było nawiązać Szwalbie głębszy kontakt duchowy z panem Chomiakiem. Szwalba żył lekturą i swemi marzeniami. Czasem wybrali się razem na spacer samochodem albo łapali ryby, w czem Chomiak był majstrem pierwszorzędnym. Znudziło się im już pożywienie złożone z samych konserw i starego chleba, i Chomiak przynosił znad Wisły codzień jakąś ładną rybkę. Ryby łapały się na byle co. Szwalba miał poważne zastrzeżenia, czy solidarność między tymi, którzy przetrwali zagładę świata, pozwalała na jedzenie ryb, ale rozkoszny zapach smażonego karasia zwalczył dość szybko te skrupuły. Najmniej mówili ze sobą o przyszłości. Cóż bowiem mogło się stać? Losy ich były zgóry przesądzone, jak los pasażerów normalnego pociągu. O pewnej nieznanej im godzinie będą musieli wysiąść, to znaczy umrzeć. Nic innego stać się nie mogło. Byli coprawda jeszcze rubenici, ale nie wydawało się to prawdopodobne aby w pustej Europie mogli odnaleźć dwu zagubionych żywych ludzi. Chomiak coprawda wspomniał, że trzebaby się wybrać do tego miejsca gdzie są ludzie, bo mając tyle forsy co oni dwaj, będą się mogli ładnie zabawić. Chomiak dobrał się do paru kas prywatnych, w których było sporo gotówki. Zebrał również wcale ładny zapasik biżuterji i łudził się nadzieją, że tam gdzie ludzie zostali, za tę biżuterję zdobędzie wdzięki nieznanych piękności. Szwalba myślał również o rubenitach, ale jego nadzieje i wątpliwości były innej natury. Kto wie, dumał, czy jego obowiązkiem nie jest połączyć się z ludźmi, którzy pozostali przy życiu i pracować w jakiś sposób dla ich przyszłości. Wszystko co czytał o Retlichu, budziło obawy, że nie byłby tam przyjęty owacyjnie. Prawdopodobnie zostałby usunięty natychmiast jako element rozkładowy. Ale inny był stosunek do rubenitów, nim świat zginął, i inny był teraz, gdy tylko oni jedni reprezentowali ludzkość

Pewnego dnia wpadła Szwalbie do głowy myśl, która powinna była mu zaświtać już znacznie dawniej. Zaczęło się od tego, że poszli z Chomiakiem do ministerstwa skarbu. Szwalba obchodził wszystkie ministerstwa i szukał materjału do swych pamiętników. Postanowił bowiem spisać historję swego życia i końca świata, aby kiedyś potomkowie rubenitów mogli ją odnaleźć i poznać prawdziwy przebieg i obraz ostatnich lat i ostatnich dni wymarłej ludzkości. Ta konstruktywna praca podniecała jego energję. Niech przynajmniej wiedzą dobrze, jak było w tym kraju i w tych latach ostatnich. W biurku ministra robót publicznych nie znalazł wiele materjału historycznego. Był tam tylko plan okrętu „Paderewski" z oznaczoną niebieską kredką kabiną, w której minister miał odbyć podróż wypoczynkową. W ministerstwie przemysłu i handlu w biurku ministra znaleźli dwie talje kart i bloczek z zapisem bridżowym, z którego wynikało, że jacyś „P" i „K" przegrali robra z trzydziestu dwu. W ministerstwie skarbu Szwalba otworzył przypadkowo jakiś gruby tom oprawny w skórę. Był to rejestr dłużników. Otworzył na pierwszej stronie i znalazł napis: „Azbestu fabrykacja". Oczywiście, spis alfabetyczny fabryk musiał się zaczynać od fabryk abażurów, amonjaku i azbestu. O fabrykach amunicji niema co mówić, gdyż były to jedyne fabryki w tych czasach, które nie miały ani długów ani zaległości podatkowych. Wtedy to nagle wstrząsnęła Szwalbą myśl prosta i logiczna. Jeśli on i Chomiak ocaleli od Niebieskich Promieni dzięki temu, że przy fabrykacji azbestu wytwarzała się przypadkowo jakaś zbawienna izolacja, to przecież takich fabryk było w Polsce parę a na świecie z pewnością paręset. Mogli więc tam również znaleźć się jacyś ludzie. Było to przynajmniej równie prawdopodobne jak to, że na Marsie czy na Wenerze jest życie organiczne. Szwalba zaczął gorączkowo przeglądać spis fabryk przetwarzających azbest dla celów przemysłowych. Było zaledwie parę takich fabryk w Polsce, ale przecież nawet tych parę fabryk mogło ocalić wielu ludzi. Fabryki polskie były to przeważnie małe warsztaty pracy, zatrudniające po kilkudziesięciu robotników. Przetwarzano tam azbest na papę i tkaniny. Przy pomocy walcowania i gotowania rozkładano włókna azbestu. Były też fabryczki, które wyrabiały eternit, materjał budowlany, wytwarzany przez mieszanie azbestu z cementem.

Szwalba zaczął studjować sprawę przetworów azbestowych. Dowiedział się, że azbest występuje w chlorycie, w łupku talkowym, jako produkt wietrzenia hornblendy. Jeśli gdzie należało szukać ludzi, to w okolicach gdzie azbest występuje najbogaciej. Trzeba więc było szukać w Gastein, w Zillertal w Tyrolu, w Sondrio, w Turynie i w Stanach Zjednoczonych między Vermont i Alabamą. Była tylko jedna trudność. Ludzie, którzy ocaleli przypadkowo dzięki jakimś dotąd nieznanym właściwościom azbestu, nie musieli bynajmniej trzymać się miejsca ocalenia i podobnie jak on i jak Chomiak, odeszli i ukrywali się tam gdzie im żyć było najwygodniej. Nadzieja znalezienia kogoś żywego w Turynie albo w Zillertal była dość nikła, ale Szwalba uczepił się tej myśli i postanowił namówić Chomiaka do wyprawy samochodowej przez Tyrol do Włoch. Narazie postanowili zbadać teren fabryczek polskich.

Po pierwszej wyprawie do Łodzi wrócili zniechęceni. Łódź była wymarła i pusta straszliwie. Zapalili na Piotrkowskiej przed Grand Hotelem wielki stos. Krzyczeli, puszczali płyty gramofonowe i trąbili krążąc samochodem po mieście, ale żadne echo nie odpowiedziało tym beznadziejnym nawoływaniom. Szwalba wpadł w manjacki upór wynalezienia tych, którzy mogli pozostać przy życiu. Cały czas wolny od pisania pamiętnika i wspomnień, które miały być jak butelka rzucona w ocean, powierzona pustce wymarłej Warszawy, spędzał Szwalba na rozmyślaniach nad odnalezieniem ludzi. Jakże — tylko ci rubenici mieli pozostać, tylko oni mieli kształtować przyszłe koleje świata? Chomiak był bardziej sceptyczny i ostrożny.

— Co się tak wydzierasz? — zwrócił uwagę Szwalbie, gdy stali przed Grand Hotelem w Łodzi — jeszcze czego złego się dopytasz? Czy ty myślisz, frajerze, że na świecie musiały zostać, zaprzeproszeniem, same anioły. Możemy się natknąć na jakiegoś morowego drania albo i na paru draniów, którzy nam życie obrzydzą.

Szwalba nie zaniechał swej pracy wychowawczej, dawał Chomiakowi, różne książki do czytania, ale wymagania byłego pracownika budowlanego były bardzo surowe. Kiedyś schronili się przed deszczem w gmachu Teatru Polskiego. Szwalba wydobył z bibljoteki teatralnej egzemplarz „Hamleta" i rozpartemu w krzesłach Chomiakowi odgrywał sam sceny dramatu. Chomiak patrzał otępiałem okiem na przyjaciela przebranego w jakiś czerwony płaszcz i miotającego się po scenie.

— Jakieś głupie — powiedział wkońcu.

Z uporem w rozmowach przekręcał słowa „Ofelja" na „oferma", a jedyną rzeczą, która mu się w teatrze [illegible]ła, był kapelusz z piórami i [illegible] „Cyrana de Bergerac". Włożył t[illegible]lusz, przypasał szpadę i łaził [illegible]dni po hotelu bardzo drażniąc [illegible] Wzajemne podrażnienia następo[illegible]raz częściej. Chomiak zmuszał [illegible] do gry w warcaby, w której to [illegible] znaczną przewagę.

— Myślałby kto, że napraw[illegible]stkie rozumy zjadłeś, a jakżeś [illegible]dry, to dlaczego nie umiesz ob[illegible], jak pójdziesz teraz naprzód to[illegible] dwa kamienie i ja damkę sobie[illegible] Coś ty mnie z twoją mądrości[illegible] Mówisz, że trzeba się w życiu [illegible] rozumem a nie, za przeproszen[illegible]miętnościami, no to się kieruj [illegible]gnido żydowska.

Próżno Szwalba tłumaczył, [illegible]ności spekulacyjne i wprawa w [illegible] przesądzają jeszcze wszystkiego [illegible]stety, wpadał w zdenerwow[illegible] się i irytował przy nowej part[illegible] i znów przegrywał. Kiedyś, [illegible]szem przemowieniu się, Szw[illegible]ził się i przeprowadził do „B[illegible] paru dniach Szwalba wybrał [illegible] Katowic, gdzie kiedyś istniał [illegible]oryka przetworów azbestowy [illegible] zapalił stos jakby na ofiarę [illegible]oostwu umarłej ludzkości. Sto[illegible]ku krzyczał i nawoływał głos[illegible] zachrypły głos przeraził go s[illegible]gle ogarnął go popłoch. Wiel[illegible]nął sycząc i trzaskając. M[illegible] ciemne i głuche. Nie mógł z[illegible] Zbudziły go pioruny i błyska[illegible] panując nad nerwami, r[illegible] wskoczył do samochodu i ru[illegible]rzę i w ciemność. Nad ranem [illegible] Warszawy zmokły i podobny [illegible] upiora niż do pomocnika ksi[illegible] Od pięciu już dni nie rozmaw[illegible] miakiem. Gadatliwa i towarz[illegible]ra Szwalby nie wytrzymała [illegible] Chomiak miał więcej charakt[illegible]dzo się drożył gdy pewn[illegible] Szwalba zjawił się w Hotelu E[illegible] pod pozorem, że zostawił jak[illegible]

Ostatnią pasją Chomiaka b[illegible] nie fotografij. Leżał na kan[illegible] Kawiarnią Europejską obłożo[illegible] fotosów kinematograficznych [illegible] modami i wydawnictw w ro[illegible]ris Nu".

— Najpierwbym tę brunetk[illegible] w dziąsło a potem tego b[illegible] zwierzał się ze swych marze[illegible]nych.

Szwalba próbował opowie[illegible] miakowi o swych przeżyciach [illegible]chu, który go gnał w burzę d[illegible]wy. I oto nagle w czasie te[illegible] stało się coś niewiarogodnego [illegible]wego: posłyszeli szum. Szum [illegible]jący i boski. Szum znajom[illegible] szum do którego przywykli [illegible] niemal życie. Obydwaj jednoc[illegible] dnieśli oczy dogóry. Wysoko [illegible] czystem i bez chmur płynął [illegible] Warkot motoru napełniał cał[illegible] całe miasto wydawało się roze[illegible] tego dźwięku. Chomiak chwyc[illegible] za rękę.

— Nie ruszajmy się — szepn[illegible]ba, jak gdyby bojąc się, że [illegible] podniesienie głosu dolecić moż[illegible] soko w niebie zawieszonego s[illegible]

Pierwszem uczuciem był s[illegible]stynkt samozachowawczy sp[illegible]ich ruchy. Czuli się jak ptactw[illegible] wobec jastrzębia. A raczej j[illegible] który udaje umarłego wobec [illegible] choć nieznanego niebezpieczeń[illegible] mógł być tylko samolot stamt[illegible] powietrzem któryś z groźnych [illegible] zbrojny może w straszliwe [illegible] Promienie. Długo jeszcze słyc[illegible] warkot motoru, aż wreszcie p[illegible] molot rozpłynął się i znikł w[illegible] błękicie nieba. A więc świat ż[illegible] się naprawdę jakieś sprawy, nie[illegible] rozbitkom wyrzuconym na bezl[illegible] spę rodzinnego miasta.

— Coś mi się widzi, że to b[illegible]ta — rzekł Chomiak patrząc n[illegible]jący się samolot. — Ja mam [illegible] takie rzeczy dobry, i z piątego [illegible] budowie zobaczę, za przeprosze[illegible] dołem idzie ciało odpowiedzi[illegible] tłomok.

Chomiak po zainteresowani[illegible]stycznych przerzucił się całk[illegible] erotyzm, i brak kobiet doprov[illegible] do niebezpiecznego stanu po[illegible] Mimo że były subjekt księgarsk[illegible] ani ponętny ani urodziwy, doch[illegible] tego że Chomiak łypał w jego s[illegible]żądliwem okiem. Szwalba, [illegible] miał wiele temperamentu ero[illegible] patrzał z przestrachem na to [illegible] nie towarzysza niedoli. Stwie[illegible] zgorszeniem, że Chomiak na[illegible] w swym pokoju jakieś lalki i [illegible] reklamowe, nogi ze sklepów z[illegible]chami i mnóstwo bielizny dams[illegible] wet w tak poważnej chwili jak [illegible] się pierwszego rubenity, nie u[illegible]zbyć się swych erotycznych za[illegible]wań.

— Powinniśmy być teraz ost[illegible] radził Szwalba, — zwłaszcza z [illegible] światła wieczorami. Taki ruben[illegible] molotu łatwo może dostrzec ś[illegible] wtedy już po nas.

W dwa czy trzy dni późni[illegible] samolot przeleciał nad Warsza[illegible] razem krążył dość nisko, jakby [illegible] czegoś w wymarłem mieście.

Antoni S[illegible]

*) por. „Rozdział pierwszy, w którym dowiadujemy się, że niejaki pan Retlich uważa potop biblijny za tandetę" w nr. 685-6, „Rozdział drugi, w którym nowy twórca ludzkości ogłasza swój manifest" w nr. 687, „Rozdział trzeci, w którym spotykamy kilkunastu panów Herbergów" w nr. 688, „Rozdział czwarty, w którym pan Szwalba zostaje Robinsonem Warszawskim" w nr. 689, „Rozdział piąty, w którym poznajemy trzech niszczycieli i wszystkie uroki życia rubenitów" w nr. 690 i „Rozdział szósty, w którym bohater naszego opowiadania ulega modnej chorobie wspomnień dziecinnych" w nr. 691 „Wiadomości Literackich".

W najbliższym numerze

„Wiadomości Literackich"

dalszy [illegible] **IEGO:**

„Rozd[illegible] **ostaje**

wresz[illegible] **nagle**

ANDRÉ GIDE

przekład autoryzowany J. E. SKIWSKIEGO

POWRÓT Z Z. S. R. R.[1)]

PRZYPISY

Przez całe życie dbaj o swe zęby!

Ilu ludzi traci przedwcześnie zęby tylko dlatego, że pielęgnowali je nienależycie. Wiele osób nie przedsiębierze nic przeciw kamieniowi nazębnemu, który osłabia zęby i częsta powoduje ich wypadanie.

Aby mieć mocne, zdrowe zęby — używajcie Kalodontu! W Polsce jedynie ta pasta zawiera Sulforicinoleat pg. dr. Braeunlicha, dzięki czemu zwalcza skutecznie kamień nazębny i zapobiega jego ponownemu tworzeniu się.

KALODONT

PRZECIW KAMIENIOWI NAZĘBNEMU

LEON BERENSON

ODRUCH*)

Był to męczący — w śniegu i deszczu zrodzony — listopadowy poranek.

Długa Sala Śmierci ginęła w mroku, i tylko osierocony kinkiet rzucał źdźbło żółtego światła na bojowców radomskich.

Było ich jedenastu, — kwiat tamtejszej bojówki, — wśród nich siedemdziesięcioletni Szukiewicz, dwie jego córki, na wszystko gotowe techniczki partyjne, Smerdzyńska z dorosłym synem i Malinowska z trzyletnią Marychną na ręku. Trzy pokolenia, — w ogniu walk wolnościowych wykuty łańcuch rodzinny, — niezapomniany obraz ciągłości zmagań o dobro dla wszystkich.

Przyglądali się spodełba gen. Uwierskiemu, który doręczał im akty oskarżenia — tę zapowiedź bliskiej już sprawy, jednej zę złowróżbnych odsłon nieustającego dramatu rewolucji.

Posępny, bezduszny sędzia. Gdy pewnego razu chciał sprawdzić, czy zalany pianą oskarżony nie symuluje epilepsji, kazał żołnierzowi podważyć bagnetem zaciśnięte w ataku zęby. Udawał, że słucha przemówień obrończych, a cichuteńko nucił jakąś jemu tylko znaną piosenkę o śpiewającym skowronku i niechybnym jego skonie.

Gdy tłumacz z rosyjskiego zawile wyjaśniał zmartwiałym, nic nie rozumiejącym chłopom, że skazano ich na śmierć i że wyrok będzie wykonany niezwłocznie, chyba że ułaskawi generał-gubernator, sędzia przerywał szyderczo tę litanję i polecał dodać, że „koszty sądowe obciążą nie ich, ale skarb". Ledwie kończył odczytywanie wyroku śmierci, — serca ludzkie przestawały na chwilę bić w tej ciszy, która jest siostrą wieczności, — odzywał się nagle jego ostry chrapliwy głos, zapraszający sędziów na obiad. W gronie żandarmów opowiadał kiedyś, że wyroki śmierci działają kojąco na jego niespokojne i zbolałe nerwy.

— Oto akt, grozi śmiercią, pan obrońca wyjaśni — powtarzał generał ponuro i groźnie, jak gdyby już dokonywał ostatecznego porachunku z życiem ludzi, zdanych na jego łaskę sędziowską.

A oni... apatycznie i bez wzruszenia brali tę laurkę śmierci. Przekładali z ręki do ręki, spoglądali na adwokata, — najbliższej im wówczas istoty, — czekali, aby zostać z nim sam na sam, pytać o swoich, o życie na wolności, o daleki, zamglony, nierealny już Radom — i mówić cicho, bezdźwięcznie o tej Nieuniknionej. Ukazały się im Skrzynno, Jedlińsk, Zwoleń, zdobyte urzędy gminne, rozwalone monopole, oblężone dworce kolejowe, zamigotały wyniki radosne, pościg kozacki, odwroty szaleńcze, trupy towarzyszy i łzy matczyne — widzieli ulice Radomia i siebie w zaułkach, gdy zbliżał się ku nim pojazd policmajstra. Byli na straży. Dojrzeli hohaterską, prostą jak strzała, rękę instruktora i bombę dygocącą z tryumfem pod kołami. To wszystko nagle zadrgało życiem, zahuczało niby grzmoty wiosenne, zawirowało, popłynęło ku nim z martwych papierów i na krótko, na chwilę przesłoniło smętny wzrok wizją tak niedawnych fanatycznych czynów bojowych.

Ocknęli się, wrócili na ziemię, a sędzia zbliżał się do Malinowskiej, aby wręczyć jej pismo sądowe i znowu powtórzyć bezbarwne słowa o akcie, o obrońcy, i złowieszcze — o karze. Spojrzał na matkę, na córkę Marychnę — przerwał nagle swą czynność i mamrocząc coś do siebie, niezgrabnie, pośpiesznie pobiegł do sąsiednich pokojów. Po chwili wrócił... z pudełkiem czekoladek...

— Papier dla matki, a to dla córeczki, — wyrzucił z siebie, zerwał się z miejsca, ostrogi wydały zduszony brzęk, i uciekł, od ludzi, a może i od siebie samego.

— Nu i gienierał — szej małomówny wachmistrz Osie

Ten stary żandarm spędz ta w X Pawilonie. Smutel odbijał w sobie wszystko co straszyło w przeklętym Cze mu. Przeważnie milczał, nauboczu, a czasami urw ściętem słowem dawał upust prawdziwym, ludzkim uczuciom. Krył się z tem, — uchodził za wzorowego żandarma, — ale gdy w ciszy nocnej prowadzono bojowców na śmierć, klęczał w jednej z dolnych izb Pawilonu, wraz z białym jak gołąb Siedielnikowem i patrząc przez okno na ostatnią pielgrzymkę, błagał swego Boga o miłościwy dla skazańców kres.

Nie zrozumiał gestu sędziego, i trwożliwy, pytający wzrok jego biegł za mundurem generalskim, który ginął w miękkich fałdach wypłowiałej portjery przyległego saloniku.

— Drań, drań — padało jak ciosy z zimnych, cienkich, znękanych ust Antka Kierkowskiego.

Młodzi radomiacy wyczuli w tym postępku drwinę, przewrotność moskiewską i bezkarność obłudy.

— To dobrze, to dobry znak — szeptał stary Szukiewicz i z rozrzewnieniem gładził wnuczkę po jasnych włosach.

Zdawało mu się, że z tej małej duszyczki bije siła, która stanie się ratunkiem dla całej gromady. Dziadek chciał w to wierzyć, — sam był bardzo stary, — ale wszyscy wkoło niego — córki, wnuk i te młodziaki... Znał ich od dziecka, — wszyscy tak ślepo, zapamiętale dzielni, — przecież świat do nich powinien należeć. Pamiętał ich pierwsze kroki młodzieńcze w trudach podziemnych, jak cichaczem schodzili się do jego domu, spragnieni druków buntowniczych, wieści do walk podniecających, jak później w piwnicy bratali się z bronią i dynamitem, jak patrząc bez drgnienia w oczy zagładzie, szli na miasto, do osad, do wsi, aby wykonać rozkaz bojowy, o własnem życiu, wolności przewrotność otoczenia, kupione zdrady i wymuszone kłamstwa — taki był świat, w którym kształtowało się i hartowało serce tej garstki sanitarjuszów — obrońców politycznych. Przebiegł w pamięci najróżnorodniejsze epizody. Widział oficerów-sędziów, skradających się nocą, jak złodzieje, na Królewską do Patka, aby w przeddzień rozprawy dowiedzieć się, co mają czynić tam w pokoju narad, w celu ratowania więźnia; sam słyszał szeptane słowa otuchy gdy przypadkiem w ciemnym kącie zetknął się z sędzią-Polakiem; wiedział, że w sercu zwykłego oficera nie zawsze tli się nienawiść; znał sędziów, prokuratorów, którzy opuszczali szeregi, aby po innej stronie barykady walczyć o życie polskiego konspiratora.

Ale nie mógł rozwiązać tej oto zagadki. Cynizm podłego — czy iskra człowieczeństwa? Atak czułości — czy rozmyślne znęcanie się nad sercem matki? Nie wierzył swym oczom — a przecież łapki dziewczynki wczepiły się w kolorowe pudełko... i śmiało się głośno maleństwo.

Anna Malinowska ściskała kurczowo papiery. Przez mokre szyby wpatrywała się bezwiednie w wyrastające przed nią tuż przez ulicę wrota, skąd wąska ścieżyna wiodła wówczas do sierotek-zagonków, do Ogrodu Zmartwychwstania, gdzie leżą Nieznani Waleczni, prawie zapomniani, i patrzą z bojaźnią i lękiem, jak gdyby Polska dzisiejsza macochą im była. A Marychna biegała po Sali Śmierci i bawiąc się pudełkiem, wołała: „Tata, tata"...

Starzec Szukiewicz miał dobre przeczucie. Czarne, niszczycielskie skrzydło nie dotknęło nikogo z rodziny radomskiej. Dziadka i córki skazano na cztery lata katorgi, Marychna pozostała przy [illegible] w więzieniu, wnuk wrócił do domu.

A bojowcom przypadły w zaszczytdziale długie, ciemne noce nieponiewierki, aby w bagnie kazdobywać wciąż nowe odznaeńskie, tak nisko już teraz ce-

Leon Berenson.

André Gide, przełożył J. E. Skiwski.

*) Kartka ze wspomnień p. t. „Z Sali Śmierci".

[1]) Początek w nr. nr. 689, 690 i 691. [illegible]d przygotowany dla Bibljoteki [illegible]. Przedruk wzbroniony, cytować [illegible]ylko z podaniem źródła („Wiado[illegible] Literackie"). Dokończenie w nu[illegible] najbliższym.

Togal

Przy grypie, przeziębieniu, dreszczach, łamaniu w kościach doznaje się ulgi zażywając tabletek Togal. Togal powoduje spadek gorączki i uśmierza bóle.
Do nabycia w najbliższej aptece.

Wszystkie książki nadsyłane do redakcji są odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z wydawnictw nadsyłanych bezpośrednio pod adresem „Wiadomości Literackich", a nie ich współpracowników.

O egzemplarze recenzyjne redakcja „Wiadomości Literackich" w żadnym wypadku nie będzie się ubiegała.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

W POGONI ZA SOBĄ

Zbigniew Uniłowski. Dwadzieścia lat życia. Powieść. (Tom pierwszy). Okładkę projektował **T. Piotrowski.** Warszawa, J. Przeworski, 1937; str. 344 i 2nl.

Autor „Wspólnego pokoju" i „Żyta w dżungli" zdobył wstępnym bojem niesporną pozycję literacką i odrazu stanął w szeregu tych młodych prozaików, z którymi wiążą się nadzieje polskiej powieści. Uniłowski jest prozaikiem z urodzenia. Aby zrozumieć istotę jego twórczości, należy ustosunkować się do niej jak do zjawiska przyrodniczego. Bywają muzycy, szachiści z urodzenia. Niewiadomo kiedy nauczyli się grać na skrzypcach, w szachy. Wystarczy że grają, a nierzadko tak grają, iż wszystkich mogą wprowadzić w zdumienie.

Talent powieściopisarski rzadko bywa talentem samorodnym. Można posiadać np. dobry styl, ale nie mieć przytem nic do powiedzenia, nie umieć nic zobaczyć, opisać lub skomponować. Dopiero umiejętność słowa, spojrzenia, określenia i kształtowania, stanowi istotę psychiki powieściopisarza. Trzeba mieć pozatem szczególny rodzaj pamięci, która pozwala wydobywać z niebytu sprawy znajdujące się u progu świadomości.

Każda z tych właściwości pisarskich posiada rozległą sferę możliwości i warjantów. Ale wszystkie one muszą istnieć i pozostawać w tajemniczym do siebie stosunku. Rozwój pisarza polega na powolnem, najczęściej świadomem, zawsze trudnem koordynowaniu poszczególnych elementów twórczości.

Odrębność Uniłowskiego polega właśnie na tem, że wystąpił z utworem gotowym i z punktu widzenia powieściopisarskiego skończonym. Można prowadzić z autorem dyskusję na płaszczyźnie filozoficznej, społecznej, psychologicznej lub ideowej, ale jego utwór powieściowy jako obserwacja i kształt życia, pozostaje poza wszelką dyskusją.

„Sytuacja" powieściowa Uniłowskiego jest też z tego powodu nie tylko wyjątkowa, — można ją chyba porównać z pozycją Choromańskiego, — ale i niebezpieczna. Wyjątkowa dlatego, że młody prozaik odrazu przełamał trudności, których pokonanie okupuje się nieraz połową pracowitego życia; a niebezpieczna jak każde wirtuozostwo, które prowadzić może na mielizny.

Dzisiaj Uniłowskiemu jeszcze żadne niebezpieczeństwa nie grożą. Pisarz, jak młody bożek leśny, cwałuje przez życie, czerpie pełną garścią ze wspomnień i obserwacyj, odnajdując się ciągle w namiętnej pogoni za sobą.

Powieść Uniłowskiego jest uświadamianiem sobie siebie samego. W takiem podejściu do tematu i anegdoty powieściowej wyczuwa się głęboki i jakże usprawiedliwiony niepokój autora. Uniłowski dąży do samookreślenia. Przedewszystkiem musi wiedzieć kim jest, skąd przyszedł, co przeżył; a dla powieściopisarza wiedzieć, znaczy stworzyć i pokazać. Uniłowski likwiduje urojone, a częściowo nawet rzeczywiste przedpole swego życia; jeżeli „Wspólny pokój" był tylko fragmentem doświadczenia, to „Dwadzieścia lat życia" posiada już zakrój i zasięg epicki.

W ramach pierwszych dwóch lat niepodległego bytu państwowego zamyka autor nieraz nawet zbyt szczegółowo opowiedzianą historję życia dziesięcioletniego Kamila Kuranta. Było ono barwne i bujne, jak życie ulicy, która wychowała tego sprytnego, wcześnie dojrzałego dzieciaka. Ojcem jego był aferzysta i oszust, a matką suchotnica, porzucona przez męża, utrzymywana przez niekochanego człowieka i w przeddzień śmierci przez niego opuszczona. Sieroctwo Kamila było zupełne. Ojciec po powrocie z Rosji dostał się odrazu do więzienia, a młody Kamil znalazł się u ciotek na Powiślu.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Powiśle stało się dla Kamila romantyczną ojczyzną. W słowach i opisach pełnych wzruszenia maluje Uniłowski życie Powiśla, opowiada jego mitologję i tworzy jak gdyby historjozofję tej niepozbawionej uroku nadwiślańskiej dzielnicy. A dom przy ul. Leszczyńskiej nr. 16 staje się skrótem i przekrojem stosunków obyczajowych Warszawy andrusowskiej, „knajackiej", nawpół bandyckiej, ulicznikowskiej, nędzarskiej i głodnej

Między śmietnikiem a zbieraniem ogryzków, odpadków tytoniowych i pestek, upływało życie Kamila, którego „dziecięcą psychikę dręczyły wielkie, namiętne pragnienia" — nieokreślone i pozbawione wyrazu. Tylko ambicja „wygramolenia się" z tego środowiska podtrzymywała na duchu chłopca, który zrywał i nawiązywał najbardziej dziwaczne przyjaźnie, podpatrywał starszych, łasił się kiedy było trzeba, kłamał na zawołanie, a w gruncie rzeczy wszystkimi pogardzał. Życie rzucało Kamilem jak piłką, ale każde starcie z rzeczywistością okupywał on podświadomą prawdą która wrastała w jego duszę i pomnażała jego doświadczenie.

Dlatego nagłe pojawienie się ojca Kamila, Andrzeja, i gwałtowny zakręt w stronę życia wytwornego i wygodnego nie wywołały w chłopcu entuzjazmu. Wyczuwał kim jest ojciec, domyślał się, że nie może na niego liczyć, i obawiał się wstrząsu. Pierwszy wstrząs przyszedł w Krakowie, drugi w Zakopanem. Za każdym razem ojciec dostawał się do więzienia, a Kamil wypadał z normy. Po krótkim pobycie w gimnazjum zakopiańskiem, gdzie po raz pierwszy obudziły się w Kamilu upodobania poetyckie i literackie, chłopiec musi wracać na Powiśle. „Pałac z kryształu walił się i pękał"...

Dwuletnią kronikę życia małego Kuranta wyzyskał Uniłowski, aby ukazać na tle specyficznych stosunków warszawskich uroczy obraz krakowskiego środowiska, które swoim spokojem, umiarem i starą, zasiedziałą kulturą napewno zaważy na przyszłości chłopca. Z nieomylnym instynktem dobrego powieściopisarza, wydobył autor istotne różnice, jakie zachodzą pomiędzy pejzażem i ludźmi tych dwóch miast. W Krakowie też przeżywa Kamil pierwszy głęboki wstrząs w kościele Marjackim na widok ołtarza Wita Stwosza. Wszystko dotąd spływało po Kamilu bez śladu: smutna śmierć opuszczonej matki, jej groteskowo makabryczny pogrzeb i pierwsze nieśmiałe próby erotycznych wzruszeń. Kamil nie wychodził nigdy z roli obserwatora. Krytykował siebie i wszystkich. Może tylko w kinie dawał się porywać marzeniom. Jego oschła trzeźwość towarzyszyła mu we wszystkich eskapadach koleżeńskich, przedsiębiorstwach „fabrycznych" i wędrówkach z ojcem. Patrzał na życie spodełba. Dopiero Kraków czarem swej tradycji, urokiem otoczenia, groteskowo prowincjonalną, śmieszną dobrocią ludzi, zaczyna oddziaływać na duszę chłopca. Jakby naprzekór, właśnie w Krakowie odzywają się w Kamilu najgorsze instynkty. Tam popełnia swoje pierwsze kradzieże na wielką skalę, tam przeprowadza misternie zbudowaną kampanję kłamstwa przed swą prowizoryczną opiekunką, p. Gorlicką, tam też w sposób nieludzki znęca się nad wciągniętym w krainę występku kolegą Antkiem. Ale siła zła, przywieziona z Warszawy, maleje i kurczy się na ulicach, na Plantach i w kościołach krakowskich. Mały Kamil zaczyna rozumieć istotę grzechu. A kiedy po wyjściu ojca z więzienia dostaje się do gimnazjum w Zakopanem, przeobraża się we wzorowego ucznia, któremu przeszłe życie wydaje się złym snem. Cóż kiedy nieubłagana logika zbrodni ojcowskich prowadzi go z powrotem na Powiśle, a ciotki kierują go na naukę do krawca.

Z prawdziwem wirtuozostwem przedstawił Uniłowski bogatą galerję ludzi z najróżniejszych sfer. Każdy człowiek, chociażby był ukazany w epizodzie, posiada swoją indywidualną prawdę życiową. Prawda ta jest zawsze prozaiczna, pospolita i zwykła, ale podpatrzona przez autora w sposób groteskowy i charakterystyczny.

Tom pierwszy „Dwudziestu lat życia" obejmuje okres wegetatywnej bierności młodego chłopca. W następnym spotkamy się zapewne z czynnym i już świadomym stosunkiem Kamila Kuranta do otaczającej go rzeczywistości.

Emil Breiter.

PRAWO JAZDY—INŻ. FROM, HOŻA 35

MĘCZEŃSKIE ŻYCIE MAŁEJ DENISE

Maxence van der Meersch. Grzech świata. Przekład autoryzowany **Zofji Maliniak.** Warszawa, Wydawnictwo Współczesne, 1936; str. 361 i 1nl.

Jest to wstrząsający dokument ludzki, przejmujące świadectwo niewyczerpanej wprost cierpliwości, i wytrzymałości natury ludzkiej, jej niepożytej zdolności do regeneracji.

Dziecko proletarjatu paryskiego, mała Denise, niekochana i maltretowana przez matkę, nędzarkę i rozpustnicę, wyrasta w atmosferze nienawiści i zwierzęcych namiętności, przeżywa niewiarogodne piekło nędzy, brudu, zepsucia i zachowuje naprzekór wszystkim czystość wewnętrzną, dobroć, potrzebę miłości i zdolność do dziewczęcej radości. Jakby dla zneutralizowania bezdennie smutnej, beznadziejnie pesymistycznej atmosfery, otwiera nam autor jaśniejszą perspektywę na dalszą, rzekomo szczęśliwszą przyszłość dziecka, któremu jakimś sposobem (ten okres leży już poza ramami powieści) udało się wyrwać z tego dna nędzy. Mimo to efekt jest głęboko przygnębiający. Jaka, choćby najpogodniejsza przyszłość może wynagrodzić te lata katuszy? Jak może z nich człowiek wynieść niezłamaną zdolność do życia i wiarę w życie? Ta kumulacja nędzy, nieszczęść i niedoli bez żadnego usprawiedliwienia i sankcji, bez żadnej rekompensaty ideowej, napełnia goryczą i beznadziejnością. Autor zwala cały trud znalezienia sensu tego cierpienia, przyjęcia go i usprawiedliwienia — na czytelnika i zostawia go z tym ciężarem bez żadnej pomocy. Ogranicza się on do rejestracji faktów, do rzeczowego sprawozdania, ale czyni to przez usta małej Denise z tak przekonywającą potęgą niesfałszowanego autentyku, że trudno uwierzyć, aby miało się przed sobą twór kunsztu pisarskiego a nie krwią nabrzmiały dokument.

MAXENCE VAN DER MEERSCH

Autor nie wpada ani na chwilę w sentymentalizm, wystrzega się łatwego wzruszenia, miękkości. Mała Denise nie lituje się nad sobą i nie zabiega o litość. Opowiada o swem męczeńskiem życiu z rzeczowym, dziwnie przejmującym objektywizmem. Jej rezygnacja z ostatniego minimum szczęścia, wyrozumiałość i zrozumienie dla zła i nienawiści, dla krzywdy i niesprawiedliwości — ma w sobie coś wstrząsającego w swej bohaterskiej abnegacji. Cierpienie ukazane jest tu poważnie i bez ozdób, wolne od kokieterji, od pychy moralizatorskiej, od łatwej pociechy religijnej.

Zadziwiająca zdolność rozwinięcia tematu przez moc sytuacyj i szczegółów, nieograniczona wprost wynalazczość, z jaką autor ukazuje monotonny los bohaterki w tysiącu warjantów, zawsze równie przedziwnych i wstrząsających, znamionuje wielkiego pisarza. Najintymniejsza zaś znajomość duszy małej bohaterki, nieomylność w znajdowaniu coraz nowych nieoczekiwanych rysów i cieniów, bez najmniejszego fałszu, bez wykroczenia nigdzie poza ramy prawdy psychologicznej, świadczy o rozległej i głębokiej kompetencji ludzkiej tego niezwykłego autora.

Tłumaczenie wzorowe.

Bruno Schulz.

Radykalizm na bezdrożach

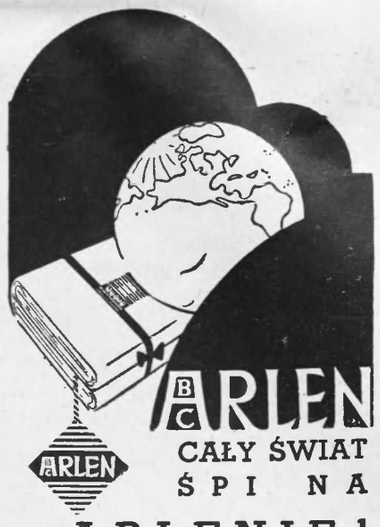

CAŁY ŚWIAT ŚPI NA ARLENIE!

Ten zwrot stanie się wkrótce sam przez się zrozumiały, gdyż płótno na bieliznę pościelową, które jest tak nadzwyczajnie gładkie i nie traci wcale połysku nawet po wielokrotnym praniu, a jednocześnie jest tak tanie i prawie nieograniczenie trwałe, musi z błyskawiczną szybkością podbić cały świat.

ARLEN
WYRÓB FIRMY
BRACIA CZECZOWICZKA
w ANDRYCHOWIE.

Do nabycia w sklepach bławatnych

Stanisław Piasecki. Prawo do twórczości. Warszawa, „Prosto z Mostu", 1936; str. 300 i 4nl.

Wieloznaczący tytuł książki łączy pokaźny szereg artykułów publicystycznych, ogłoszonych poprzednio przez autora na łamach tygodnika „Prosto z Mostu" i dziennika „ABC". W zbiorze książkowym artykuły te pozostały artykułami, ani jeden nie przeobraził się w solidniejsze studjum, nie zgęstniał od głębszego ujęcia; autor tak dalece nie kwapił się z rewizją swojej pośpiesznej dziennikarskiej pracy, że nawet zachował w przedruku jednego z artykułów białe plamy cenzury, jak gdyby go one zwalniały od nowego przemyślenia danego zagadnienia w książce, która nie rości sobie chyba pretensji do godności „édition définitive". Zapewne jednak jest to niewinna oznaka wrażliwości autorskiej, i nie byłoby o czem mówić, gdyby nie fakt że na tle wymownego tytułu, podkreśla ona jeszcze dobitniej popularnie publicystyczny charakter książki. Artykułów jest wiele, zagadnień zasługujących na wyróżnienie — kilka.

Piasecki uważa się za przedstawiciela i publicystę „obozu dekoncentracji gospodarczej", jest narodowcem-radykałem, katolikiem, wreszcie antysemitą z pobudek zarówno gospodarczych jak i „psychiczno-rasistowskich" (zatem nie w znaczeniu hitlerowskiem), dyktowanych względami narodowo-unifikacyjnemi. Dalej, propaguje imperjalizm ideowy, rozumiejąc przezeń wytworzenie potężnego ogniska atrakcyjności Polski wobec innych narodów, na wewnątrz zaś przewiduje możliwość harmonijnego współżycia z Ukraińcami, czego nie może dokładniej umotywować, właśnie z powodu ingerencji cenzury. Jak widzimy, zanosi się tutaj na cały system gospodarczo-społeczno-polityczny, wprawiany w ruch napędem radykalizmu i nacjonalizmu.

Co to jest przedewszystkiem dekoncentracja gospodarcza? Najogólniej — coś wręcz przeciwnego i wrogiego koncentracji kapitału i towarzyszącej jej koncentracji przemysłu, handlu, techniki, wszelkiej produkcji. Kapitalizm przezwyciężany przez komunizm staje się taką samą koncentracją jak jest dotychczas, tyle że państwową na gruzach prywatnej. Niestety, więcej już nic o tem na serjo powiedzieć nie sposób, reszta to jedynie sentymentalne konsekwencje mglistej teorji, wyrażające się w sielance regulowania produkcji według potrzeb ludzi, którzy w nowym systemie pogodzą „rozkosz" pracy z zyskiem i na tej drodze osiągną prawo do twórczości. Oczywiście, istnieje przeszkoda której niepodobna przeskoczyć: prawo własności. Ale trudność to pozorna: „Własność nie jest ani prywatna, ani państwowa. Własność należy do Boga. O tej prostej prawdzie zapomnieliśmy w ustroju kapitalistycznym — pora ją sobie przypomnieć" (str. 52). Niestety, nie wystarczy sobie przypomnieć, należałoby jeszcze na czas zdecydować, kto w imieniu Boga będzie strzegł niczyich, po ludzku biorąc, marności tego świata i czy niewiadomy dzierżawca nie wpadnie w nałóg jakiejś nowej koncentracji.

Z miłą szczerością wyznaje Piasecki że to jego rozumowanie spotkało się z nazwą teorji „z pieca na łeb", ale podejmując rękawicę, zawiadamia że „woli skoczyć. Jest w tem zawsze ryzyko. Można sobie łeb roztrzaskać. Ale jeśli łeb wytrzyma, to od uderzenia staną świeczki i zrobi się jasno". Trudno tu nawet mówić o niekonsekwencji autora, skoro sam tak namacalnie poddał wszystko niepewności czystego ryzyka, łatwo natomiast ułowić najcharakterystyczniejszy rys całej zabawy: jej prymitywny radykalizm, zręczny pomost po którym można docierać do opłotków wszystkich radykalizmów.

Piasecki, maksymalista w sprawach gospodarczych, jest także maksymalistą w sprawach ogólnoideowych. Uważa za niepoprawnych minimalistów tych wszystkich którym się roi Śląsk Opolski, Prusy Wschodnie, Mińsk, nie żeby podzielał te aspiracje terytorjalne, ale że myślenie o nich odwraca uwagę od sprawy najistotniejszej — od konieczności wyhodowania wielkiej idei, wyruszenia z nią w świat, z ideą „godną wielkiego narodu". Z wszelką pewnością postulat to naturalny, niezbędny i pilny. Nie może się jednak kończyć na zgłoszeniu postulatu, jak niestety, kończy się u Piaseckiego. Gdy nawet domyślimy się że chodzi o ostre wydobycie życia polskiego z szarzyzny, wydźwignięcie go na poziom pełnej i oryginalnej kultury, o urzeczenie urokiem polskości siebie samych i obcych, to będziemy zaledwie gotowi do skakania, tym razem kugórze, jeżeli ludzie powołani do czarowania tych atrakcyjnych uroków nie zaczną od uczciwego sprawdzenia swojej szczerości i odpowiedzialności. Tymczasem Piasecki jest tu mało zachęcającym przykładem.

W swojej gotowości do przedziwnych kompromisów, łatanych osobliwym radykalizmem, nie umie się zdobyć na radykalne rozgraniczenie elementów sobie wrogich, wciąż wychodzi na plotki to na lewicę chłopską to do marxistów, zawsze gotów coś zaproponować, z czemś zaczekać, nawet wtedy gdy mu mówią że go nie chcą, że go uważają za endeka, za magnes do przyciągania burżuazyjnych opiłków radykalnych.

Leon Kruczkowski zapewnia że „nacjonaliści nie reprezentują interesów narodu; wręcz przeciwnie, wyrażają interes swej klasy, sprzeczny z interesami mas ludowych"; Piasecki uważa to za „typowy spór o słowa. Jasne jest bowiem że przez nacjonalistów rozumie tu poprostu Kruczkowski skosmopolityzowane, antynarodowe, t zw. warstwy wyższe", i wybiera się razem z Kruczkowskim „ramię w ramię" przeciw... kapitalistom. Czyli że wszystko w porządku, z małem zastrzeżeniem że Kruczkowski, utożsamiając „naród" z „ludem", nie zechce iść ramię w ramię z Piaseckim. No, i te skosmopolityzowane warstwy wyższe w Polsce — kto to ma być, gdzie one są, tajemnicze wiatraki radykalnego Don Kichota?

Czasopismo „Poprostu" nie życzyło sobie ideowych pokrewieństw z „Prosto z Mostu", „organem młodonarodowców" który „spełnia funkcje przechwytywania i wekslowania radykalizujących nastrojów szerokich warstw polskiego drobnomieszczaństwa na tory nieszkodliwe dla istniejącego dziś ustroju"; Piasecki nazywa to „zgrywaniem się młodej reakcji" i sądzi że „może jeszcze i z tem pismem będzie można kiedyś podyskutować — na innym poziomie".

Z okazji zjazdu lwowskiego podniosły się protesty i krzyki. „Nie umiałbym — pisze Piasecki — wznieść ani jednego z tych okrzyków przerażenia", bo jak wyjaśnia dalej, dobrze jest zdać sobie sprawę z wartości skupionego na zjeździe frontu. Ale równocześnie nie stać go na przyznanie tego samego prawa Rzymowskiemu; obecność na zjeździe „czołowego publicysty **sanacyjnego** „Kurjera Porannego" nastręcza prawodawcy twórczości okazję do nie-radykalnego, na odmianę, dowcipu na temat kłopotów „sanacji z lwowską ekskursją swego akademika".

Tak oto wyglądają ścieżki, po których kręci się narodowy radykalizm publicysty pragnącego wszystkim dogodzić, byle ten jego radykalizm uzyskał u kogoś jakieś zaświadczenie. Jest to stanowczo pomyłka w adresie, żadnej pieczątki tam nie przyłożą. Nie dadzą jej również w obozie marzycieli o takiem współżyciu Polaków z Ukraińcami, które będzie polegało na proponowanej przez Piaseckiego wymianie polonizacji Ukraińców i ukrainizacji Polaków we wschodniej Małopolsce, bo nawet taki obóz nie zgodzi się na wyszydzanie przez Piaseckiego wspaniałej choć przedwcześnie realizowanej idei Piłsudskiego — federacji narodów otaczających Wschód polski.

Na zaświadczenie mógłby natomiast liczyć tylko katolicyzm Piaseckiego, różniący się od katolicyzmu Prymasa zaledwie „pewnem rozgoryczeniem" spowodu „bezwzględnego potępienia (przez księcia kościoła polskiego) rozruchów antyżydowskich". Ta nieznaczna różnica — ścisłość każe ją tu sprowadzić do słowa „bezwzględne" — decyduje że autor „Prawa do twórczości" przynajmniej w jednej dziedzinie swojego „systemu" nie podjął zabiegów o stempel radykalizmu, mianowicie jako konsekwentny, bezkompromisowy antysemita.

Stanisław Rogoż.

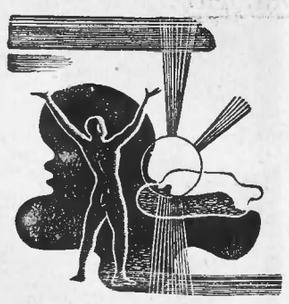

Skuteczne w działaniu

są zazwyczaj czyste leki naturalne. Norweski Tran Leczniczy, jako wyciąg z wątroby wątłuszy stanowi naturalny lek, wolny od wszelkich domieszek. Jest on w znacznym stopniu pozbawiony zapachu i smaku i dlatego też łatwo przyswajalny.

NORWESKI TRAN LECZNICZY
słynny na całym świecie.

KSIĄŻKI POLITYCZNE

Henryk de Man, minister pracy Belgji. Plan odbudowy świata. Bibljoteka wiedzy społecznej. Z upoważnienia autora przełożył **Henryk Leśniewski.** Warszawa, Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki, (1936); str. 121 i 3nl.

Klęska socjalizmu niemieckiego w r. 1933 ujawniła niedostateczność środków obronnych, stosowanych przez ruch robotniczy w walce z atakującym faszyzmem. Bierne stanowisko socjal-demokracji niemieckiej było jakby odbiciem marazmu całej Międzynarodówki Socjalistycznej, która — jak to de Man podkreśla — cierpiała na „brak opozycji, przynajmniej w tej mierze, w jakiej istnienie opozycji jest niezbędne dla sprawnego funkcjonowania każdego régime'u i ustroju parlamentarnego".

Analiza wydarzeń niemieckich stała się dla de Mana bodźcem do zajęcia się zagadnieniem zmiany strategji socjalistycznej; konsekwencją tego było opracowanie głośnego planu przebudowy.

Licząc się z obecną sytuacją warstw średnich oraz z ich tendencjami antykapitalistycznemi, które jednak nie są równoznaczne z pragnieniem likwidacji wszelkiej prywatnej własności produkującej, de Man wysunął jako hasło naczelne — postulat t. zw. gospodarki mieszanej, gdzie obok odcinka znacjonalizowanego istniałby obszerny teren własności prywatnej. Nacjonalizacji uległby kapitał monopolistyczny; drobniejsze warsztaty produkcji pozostałyby w rękach dotychczasowych posiadaczy, pracujących w ramach ogólnego planu gospodarczego, ustalonego przez władze państwowe.

K. Rulewicz. Karol Ossietzky, laureat nagrody pokojowej Nobla. Lwów, Księgarnia Lwowska, 1937; str. 36.

Broszurka zawiera kronikę życia Carla von Ossietzky, którego nazwisko stało się od lat paru sztandarem walki cywilizowanego człowieka z przemocą „totalnej" bestji.

Przewrót hitlerowski w r. 1933 był początkiem martyrologji Ossietzky'ego w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Obecnie, po krótkiem intermezzo związanem z decyzją komitetu nagrody Nobla, Ossietzky'ego umieszczono podobno znowu w jakiemś „miejscu odosobnienia". O warunkach pobytu w tych obozach podaje autor broszury bardzo wymowne szczegóły.

Dr. **Jan Bobrzyński.** Bolszewicka prawda. Warszawa, „Nasza Przyszłość" i Związek Polskiej Myśli Państwowej, 1936; str. 86 i 2nl.

Autor tej broszury, nacechowanej ubóstwem substancji myślowej i przykrym prymitywizmem argumentacji, należy do grupy młodzieży konserwatywnej, redagującej miesięcznik „Nasza Przyszłość". Program wydawnictwa, oparty na podstawie niczem nie maskowanego imperjalizmu, odznacza się dużą rozmaitością szczegółów: obok postulatu... kanonizacji królowej Jadwigi, znajdujemy tu gromkie nawoływania do rozbioru ziem rosyjskich, czeskich i litewskich, obok słów uwielbienia dla zachodniego sąsiada — pogróżki pod adresem Rosji i t. p.

Pod modnym dziś płaszczykiem walki z t. zw. żydo-komuną zmierza p. Bobrzyński nie tylko do salwowania przywilejów wielkich posiadaczy ziemskich, ale nawet do rozszerzenia stanu ich terytorjalnego i politycznego władania. Każdy ma prawo bronić interesów własnych i swojej klasy; chodzi jednak o to jakiemi środkami posługuje się w tych celach. Metody publicystyki p. Bobrzyńskiego są naiwne, śmieszne, demagogiczne i w konsekwencji — z pewnością zawodne. Chorobliwe dywagacje autora na temat roli Żydów i masonów jako „czynnika wywrotu w świecie chrześcijańskim", pachną o milę trzeciorzędnym maglem.

Bolesław Dudziński.

awniej lowelas damę swą kusił pocichu,
e ma w domu kolekcję niezrównanych sztychów,
zisiaj wystarczy, kiedy najzwyczajniej
owie: „mam w domu elektryczny czajnik".

KRONIKA TYGODNIOWA

by się, że są rzeczy bezspor- to, że Kleiner pisze płaskie literaturze. O tem że Kleiner mówiło się dużo i przekony- już się zdawało, że ta sprawa cie wyjaśniona, że czytelnik eżony przed tym szkodliwym a. Zdawało się, że mętna fra- c nie mających do powiedze- v została już zdemaskowana i moru przedstawiona szanownej i. Zdawałoby się, że ci fraze- o których przeczytaniu ma się ień straszny katzenellenbogen, pewnym stopniu unieszkodli- podobnego. Nagle pewnego ważnem piśmie poważny kry- poważnie o czołowym przed- dentologji i cytuje zdanie v ten sposób, że czytelnik mo- c iż jest to najwyższy autorytet. pota popsuta. Teraz nanowo dzie wyjaśniać, jak to właści- tym Kleinerem.

z dentologją, to praca syzyfowa. zaczepił mnie pewien dento- mie „Lwów Literacki". Prze- óbka dentologji. Posłuchajmy: i ingeruje w politykę wielkich beszta dyplomatów, ekono- vodzów zwycięskich rewolucyj. ma rację. Nie ukrywajmy tego. ma rację naprawdę... Ale eko- politycy i wodzowie mają swo- Może nawet czytają Słonim- iwają potakująco głowami — i ią swoje. Jest jakaś wyższa ra- n ich uporze. Czy nigdy nie za- to autora „Kronik"?". Istot- by pod wpływem moich feljeto- in, Hitler czy Mussolini zmieni- olitykę, napewnobym to zauwa- estał pisać. A dopóki to się nie dę pisał, mimo że racja Hitlera zsza" od mojej skromnej racji. ze Lwowa mówi o mnie: „Sło- est świetnym feljetonistą i do- tyrykiem. Ale zadnym myślicie- nym politykiem, żadnym socjo- A czy ja kiedy udawałem poli- socjologa? Czyż to nie dość że tóry jest „świetnym feljetoni- awsze ma rację"? To nie tylko e nawet za dużo. Dentolog na ie powyższych argumentów wy- ni przydział właściwy. Żebym nie jetonów, bo to go drażni, ale że- ał powieści. Oto przykład, jak starają się wpłynąć na pisarzy. mnie taki krytyk przekonał, bie- zyzna straciłaby „świetnego fel- ę".

ziwniejsze jest to, że mój huma- n podrażnił tak pismo, które zdaje się stać na tem samem co anowisku. Obok pouczań i ironji at mojej postawy ideowej, znaj- ę we „Lwowie Literackim" drugi ik p. t. „Tryumf humanizmu wal- o", gdzie mówiąc o Ossietzkym ała się te właśnie idee, których knie broni Ossietzky i którym ja n poczuciem swej niższości rów- aram się służyć. Dentologja kry- vowskiego posuwa się aż tak da- e pisząc o mojej drukującej się powieści satyrycznej, chwali ją, po pierwszym odcinku stwier- szmoncesowatość ujęcia tematu". stem myślicielem, politykiem ani giem i pewnie dlatego nie znając , nie ośmieliłbym się po przeczy- paru pierwszych stron mówić, czy jest „szmoncesowate". Tak wy- sądy ludzi sumiennych i poważ- prawdziwych krytyków i myśli- vobec racji lekkomyślnych feljeto- i poetów.

raz mniej mamy zaufania do bel- Nawet poważni w swej dziedzinie orowie nie są dla nas autorytetą- trudnych konfliktach dnia dzisiej- Parę miesięcy temu na przyjęciu basadzie francuskiej, wydanem z pobytu państwa Joliot w Polsce, n profesor warszawski wyraził ienie, że chodzę na przyjęcia dla ych i że snobuję się na naukę. Był ofesor wydziału humanistycznego, — głowębym dał za to — wie o aktywności tyle co i ja, a nawet i tego nie wie, bo nie czyta książek wykraczających poza jego specjalność. Tytuł i powaga nie imponują już nikomu. Wiemy doskonale, że prawdziwi uczeni, nie dentolodzy od filozofji i literatury, ale przedstawiciele wiedzy ścisłej, łatwo poddają się wpływom rozpasanego fanatyzmu. Wiemy dobrze, że precyzyjne umysły uczonych tracą swą wartość w wirze namiętności, jak igła kompasu w pobliżu pola magnetycznego. Parę dni temu pewien profesor na odczycie publicznym wołał, że czas aby „stanął pośród nas wielki i straszny Torquemada". Stosunek do awantur uniwersyteckich jest przeważnie wykrętny. Nikt się dziwić nie będzie, że przeciw bojówkarzom nie występują ci profesorowie, którzy sympatyzują z oenerowcami. Dziwniejsze jest, że profesorowie, znani ze swych poglądów lewicowych, liberalnych i demokratycznych, z niezrozumiałą potulnością znoszą rozpasanie endeckie. Niedawno na wykładzie pewnego znakomitego uczonego pobito obecnego na sali cudzoziemca. Zdarzenie to, dość nieprawdopodobnie przedstawione przez gazety, wymagało choćby paru słów wyjaśnienia. Świetny uczony pogardliwie zbył milczeniem głosy prasy, a sam pan rektor ogłasza sprostowanie, że nie powiedział w wywiadzie ogłoszonym przez „Nasz Przegląd" słów, które powinien był powiedzieć. To sprostowanie zredagowane jest tak niefortunnie, że czytelnik sądzić może, iż rektor uniwersytetu nie jest przeciwnikiem znęcania się nad studentami Żydami. I to robią wychowawcy młodzieży, ludzie, którzy rozumieć powinni, jaki ma wpływ na młodzież każda enuncjacja publiczna. Czy nie za dużo tej pogardy dla opinji?

Jak dotąd, odważne i mądre artykuły profesorów Kotarbińskiego i Szymanowskiego są jedynem ludzkiem słowem dobiegającem nas ze strony panów rektorów i profesorów.

Uczeni, pracujący w dziedzinie wiedzy ścisłej, mogą wykazywać najrozmaitsze braki czy też programową niechęć do mieszania się w konflikty społeczne i polityczne. Pozytywne wyniki ich pracy naukowej muszą nam wystarczyć. Nie liczmy na nich jako na sprzymierzeńców w walce z tymi, którzy spowodu swych zbyt lewicowych czy prawicowych przekonań dążą do odebrania nauce i literaturze niezależności. Gorzej jest z dentologami naukowymi od sztuki. Istota ich działalności polega prawie wyłącznie na fałszowaniu sądów i hierarchij artystycznych. Trzeba powracać przy każdej okazji do tego tematu. Wytykać im nonsensy, od których roją się dzieła różnych Kleinerów, Katzenjammerów, Pomirowskich, Irzykowskich i tych młodych, którzy się „łaszą" do belfrów, bo czują się bezpieczni w atmosferze sepjonizmu i dentologji, jak wszyscy którzy pragną coś znaczyć a nie mają nic do powiedzenia.

Antoni Słonimski.

Grypa zagraża!
stosuj natychmiast znaną ASPIRINĘ
produkt polski
Do nabycia we wszystkich aptekach.
BAYER

TAK JEST, PANIE PROFESORZE!

We wstępie do antologji „Cztery wieki fraszki polskiej" poświęciłem parę zdań literaturze t. zw. mieszczańskiej, (sowizdrzalskiej, frantowskiej). Brzmią one: „Zaniedbali więc i czytelnicy i historycy literatury olbrzymią dziedzinę **piśmiennictwa nieoficjalnego**, które zaledwie w przypiskach, petitem, i to rzadko, jest wspominane, gdy tymczasem ważność jego w historji kultury narodu jest bardzo duża. Nie Kochanowskich i Krasickich czytały dawniej masy, lecz właśnie te straganowe broszurki Janów z Kijan i Wychylówek, nie Staffów i Rostworowskich czytają dziś, lecz znów (jeżeli wogóle coś czytają w tym wieku nikczemnym) pomijane przez krytyków i historyków literatury broszurki, świstki i ulotki. Czy to dobrze, czy źle, w to nie wchodzę, stwierdzam tylko fakt — i ośmielam się zwrócić uwagę pisarzy i uczonych na ten dział literatury, co może posłuży nareszcie do rozwiązania zagadnienia „poezji proletarjackiej", o której tyle u nas dyskutowano. Przestaliśmy się już chyba łudzić zbłądzeniem Mickiewicza „pod strzechy"; możeby więc powołani zaczęli tworzyć istotną poezję i literaturę dla najszerszych warstw ludowych. Ale najpierw musieliby przestudjować wielkie dzieło p. t. „Dzieje literatury nieoficjalnej w Polsce", str. LXXXVIII + 888, czyli książkę, której niestety... jeszcze niema. Podwaliny do tej arcyważnej pracy, pióra, powiedzmy, J. St. Bystronia, stworzyli prof. Brückner w mnóstwie studjów i przyczynków oraz Karol Badecki w „Literaturze mieszczańskiej w. XVII" i w „Polskiej komedji rybałtowskiej".

Te właśnie, nie żadne inne słowa znajdują się we wstępie do „Czterech wieków fraszki polskiej".

Zacytował je prof. Stanisław Pigoń w artykule p. t. „Literatura — z deptaków miejskich na wsiach!" („Warszawski Dziennik Narodowy", nr. 353) od słów „Nie Kochanowskich i Krasickich" do słów „dla najszerszych mas ludowych", uwydatniając kursywą ustęp końcowy, zdanie zaś „czy to dobrze, czy źle, w to nie wchodzę" zaopatrując w nawiasach swoją uwagą: („Cóż? — ja jestem obserwator" — jak mówi jedna z Masek „Wyzwolenia"), poczem takie snuje na temat powyższych moich zdań rozważania: „Jeżeli dobrze rozumiem te słowa (zwłaszcza te przeze mnie podkreślone), chodzi w nich o to, że — zdaniem autora — najwłaściwszym, duchowi czasu najlepiej odpowiadającym rodzajem literatury dla „mas ludowych" byłaby taka właśnie poezja okolicznościowa, w miarę żartobliwa, w miarę satyryczna, nie gardząca pamfletem, dwuznacznikiem ani nawet rubaszną sprośnością, — **poprostu wielkomiejska piosenka kabaretowa (podkr. moje, J. T.).** Ona to dopiero ma prawdziwe szanse „zbłądzenia pod strzechy".

Aby uwolnić p. prof. Pigonia i czytelników „Warszawskiego Dziennika Narodowego" od wszelkich wątpliwości, odpowiednim p. profesorowi i konsumentom jego artykułu, że tryb warunkowy („jeżeli dobrze rozumiem" i t. d.) był tu całkiem niepotrzebny. Oświadczam, że inkryminowany urywek mej przedmowy w samej rzeczy ma na celu podsunięcie ludowi polskiemu wielkomiejskiej piosenki kabaretowej, i to sprośnej, ordynarnej, obrzydliwej. Inaczej moich słów wogóle interpretować niepodobna. Wyraźnie przecież piszę o tem, żeby wszelką inną literaturę i poezję przepędzić ze wsi na cztery wiatry i zastąpić ją wyłącznie i jedynie szansonetami kabaretowemi — tłustemi, lubieżnemi, pornograficznemi. O niczem innem nigdy nie marzyłem, nie marzę i marzyć nie przestanę. Antologję „Cztery wieki fraszki polskiej" wydałem tylko w tym celu. Pisząc o tem, aby powołani zaczęli tworzyć istotną poezję dla szerokich mas, miałem na myśli tylko siebie i Hemara, gdyż dla łatwo zrozumiałych względów zależy nam na tem, żeby chłopi śpiewali i czytali frywolne i dwuznaczne piosenki kabaretowe. Tak jest! Owszem! Napewno! Bez wątpienia! Niema dwóch zdań! Pan profesor bardzo dobrze mnie zrozumiał, i to „jeżeli" było zbyteczne. Dixi et animam meam salvavi.

Mógłbym się wprawdzie zacząć wykręcać i tłumaczyć p. profesorowi oraz czytelnikom „Warszawskiego Dziennika Narodowego", że właściwie miałem na myśli popularną literaturę ludową **tego typu** co siedemnastowieczna mieszczańska, lecz przez **powołanych** pisaną, więc o wysokim poziomie i szlachetną w tendencji, ale to byłyby tylko wykręty i mydlenie oczu. Prawda jest tam, gdzie ją widzi prof. Pigoń: w pragnieniu zasypania wsi polskiej setkami tysięcy piosenek kabaretowych z „Bandy" i „Cyrulika Warszawskiego".

Prof. Brückner, którego przedmowę do „Czterech wieków fraszki" słusznie p. prof. Pigoń pominął w swym artykule życzliwem milczeniem, tak pisze o „świstkach i ulotkach" Janów z Kijan i Wychylówek (znanych autorów wielkomiejskich piosenek kabaretowych w. XVII): „Literatura dawna, jak dawne życie, społeczeństwo, „naród", była wyłącznie szlachecka; wyrażała umysłowość i ideały, wykształcenie i poglądy, praktykę i dążenia warstwy rządzącej. Nie istniał dla niej mieszczanin ani chłop... Nawet mieszczanie, gdy do pióra sięgali, maskę szlachecką wdziewali... Ocalał jednak kącik w poezji polskiej, gdzie mieszczanin-ludowiec głos śmiało zabierał, nie podszywając się pod ogólną szlachetczyznę. I do niego Kochanowski drogę utorował, bo w „Fraszkach" dał wyraz swobodny indywidualnemu czuciu, wyśpiewał co go bolało, cieszyło, bawiło i stworzył wzór dla następców. Należało tylko wyczekać, czy tego wzoru nie chwycą się ludzie spod podcieni drewnianych i strzech słomianych; czy i oni równie swobodnie, acz nierównie mniej artystycznie nie będą objawiali swoich wrażeń i wzruszeń?... I po raz pierwszy, a na długo i ostatni, wystąpił miejski synek, nieraz aż nadto „po domowemu", w negliżu patrjarchalnym w literaturze, gdzie po nim dotąd ani śladu nie było. I wyroiły się pisemka Dzwonowskich, Janów z Wychylówki, Sowizdrzałów starych i nowych — z lubością zapożyczali tytułu tego od szalbierza wesołego, co właśnie łykom dokuczał i rozumem chłopskim miejski pobijał. Kraków, zawsze jeszcze ośrodek umysłowy Polski, dostarczał tego towaru w najlepsze. I to właśnie sprowadziło reakcję. Po dziesięcioletnim, przez nikogo nie hamowanym, wylewie podobnych pisemek, wystąpiło duchowieństwo, zgorszone bezeceństwami pisanemi (przez szlachtę, jak o tem nieco wyżej prof. Brückner wspomina; **przyp. mój, J. T.**), i przeciw drukowanym, nierównie mniej winnym... Poniewczasie, gdy może niejedno bezpowrotnie zginęło, zajęto się nimi szczegółowo; wykazano ich oryginalność, narodowe cechy, kunszt nieraz wcale niemały i podniesiono je kosztem poezji szlacheckiej".

Tak pisze prof. Brückner w słowie wstępnem do „Literatury mieszczańskiej" Badeckiego. Ten zaś, w przedmowie do znakomitej swej pracy o pogardzanych przez prof. Pigonia „świstkach i ulotkach", tak je chrakteryzuje: „Dziełka owe reprezentują najlepiej żywioł mieszczański w staropolskiem piśmiennistwie; w nich utrwaliła się kulturalna karta codziennego życia miejskiego, one wytknęły, w sposób niewyszukany, prosty, ale dobitny, różne wady społeczne. Bezimienni, o rozgłos i sławę niedbali, autorowie wydrwili, tak jak umieli, szlachtę, mieszczan, chłopów, Żydów, innowierców, kobiety, nawet siebie samych; odsłonili nieporządki miejskie, nadużycia po wsiach, nędzę ludu, upośledzony byt nauczycielstwa, wadliwe wychowanie, nieuctwo, samochwalstwo, pijaństwo, rozpustę, pieniactwo, zbytki i skąpstwo".

Mógłbym, powołując się na tak znakomite autorytety, zacząć t. zw. wymigiwanie się, że ja, panie psorze, właśnie z powyższych powodów nawiązałem, panie psorze, do „świstków i ulotek"... bo... właśnie... tego... byłoby może wskazane, aby chłopi i mieszczanie dla chłopów i mieszczan o wspólnych troskach i bólach, w prosty, popularny a zajmujący sposób, jak trzysta lat temu, zaczęli pisać. I że studja nad tym wygasłym (pozornie zresztą) rodzajem poetyckim rzuciłyby snop światła na istotę „poezji proletarjackiej"... I że powołani — to właśnie nowocześni pisarze ludowi....

Ale, powtarzam, byłyby to nędzne i niezręczne wykręty.

Miałem na myśli tylko wielkomiejską piosenkę kabaretową. Tak jest, panie profesorze!

Juljan Tuwim.

ODOL
kilka kropel w ciepłej wodzie zapobiega grypie

NOWE FILMY

JANOSIK (Colosseum)

A więc filmowe losy Janosika znalazły się w ręku czeskiem. Romantyczne dzieje tego góralskiego bohatera błąkają się po obydwu stronach polsko-słowackiej granicy, wolne i zbójnickie do samego końca, nie dadzą się przeciąć linją graniczną, rozstrzygnąć dyplomatycznym sporem, wsiąkły w góry i w lud, przeobraziły się w legendę wolności równie aktualną tu jak tam. Mimo wszystko dobrze się stało, że przeniesienie legendy Janosika na ekran dokonane zostało przez Czechów. Cóżby to bowiem było, gdyby zabrali się do tego polscy filmowcy? W najlepszym razie dożylibyśmy uroczystej premjery, byłby jeden skandal więcej i w słodkawym sosie znanych nam już etnograficzno-patrjotycznych bujd stracilibyśmy Janosika na zawsze. Spór graniczny zostałby przesądzony. Film polski, spętany od wewnątrz i od zewnątrz, własną głupotą i kiepską polityką cenzury, nie wydobyłby ani tych akcentów artystycznych ani tych akcentów społecznych, na które mogli sobie pozwolić Czesi, wyżej sobie ceniący film i demokratyczną swobodę.

I trzeba przyznać, że te akcenty społeczne wypadły w czeskim filmie dość mocno i wyraziście, że nie utonęły w beztwarzowym romantyzmie, romantyzm w tym wypadku — może nawet nadmiernie — wyidealizował, rozświetlił tęsknoty wolnościowe, wokoło nich oplótł aureolę i na nie przełożył akcent. Trochę sobie coprawda czeski reżyser ułatwił tę społecznie trudna sytuacje: zaakcentował [illegible] nych f[illegible] narodo[illegible] węgier[illegible] napisy, [illegible] węgierski[illegible] zwisk. Le[illegible] tracają się [illegible] ność. Wybija się na pierwszy plan smętna nuta chłopskiego życia w ucisku i nędzy, nuta tęsknoty za ludzkiem życiem, za swobodą, jakby podsycana i nierozdzielnie związana z turniami i perciami, i ciężki motyw zemsty prymitywnej, dzikiej, a tak prostej i zrozumiałej, że giną wobec tej oczywistości niewczesne żale natury moralnej czy humanitarnej.

Wydaje się właśnie, jakby reżyser za mało zaufał dramatyczności realnych konfliktów. Jakby za wiele włożył trudu w to, żeby ze zbójnika czyli rozbójnika zrobić nierealnego bohatera, żeby naiwnie zaakcentować jego „czyste" zamiary, żeby odjąć mu wszelkie cechy prawdziwego górala, porwanego żądzą zemsty, wolności i pieniędzy. Jakby zbyt starannie zneutralizował i oczyścił z życiowego brudu i nędzy, za wiele wlał poezji w ten prosty dramat, za niebotycznie i romantycznie postawił tło tej legendy, za bardzo ją zromantyzował, pozbawiając ją w ten sposób siły kontrastów. Za czyste, za białe, za piękne są te góralki, pędzone batem do roboty, za cnotliwa jest miłość Janosika, za szlachetne motywy jego czynów, za czarodziejskie jego skoki przez turnie i skały, jego kawalkady na kradzionych koniach. Tu można było znaleźć linję nieco inną, nie mniej legendarną ale mniej wyidealizowaną, nie mniej porywającą ale bardziej życiową, bardziej „skrwawioną" pracą, zbrudzoną trudem życia, bardziej realną i bardziej kontrastową. W tem właśnie zasadniczem ujęciu linja reżysera wykazuje niepewność i wahanie, zawisa niekiedy w romantycznej próżni, [illegible] rzuca laskę i idzie na szubienicę, jest bohaterski, porywający i prawdziwy. I w tej części film jest wielki i piękny.

ORZEŁ KRYMSKI (Bałtyk)

Uczestniczymy znowu w wielkiej glorfikacji imperjalistycznej polityki wielkobrytyjskiej. Musimy podziwiać niezłomne męstwo oficerów angielskich, rzuconych na krańce Indyj, broniących angielskiego honoru wobec dzikich i jakże bezecnych szczepów, które z wrodzoną sobie przewrotnością buntują się, knują zdradę, strzelają do wojsk angielskich i dają dowód swej nieokiełznanej dzikości, mordując angielskie ladys i angielskich gentlemenów. Film huczy od strzałów, świszcze od strzał, opiera całą swą ideologję, całą również dramatyczną pointę na krwawej zemście, na okrutnym odwecie, tak zresztą romantycznie pomyślanym, że staje w jaskrawej sprzeczności z rozumem, logiką i zimną krwią gloryfikowanej nacji. Obrazy i dowody, któremi operuje ta romantyczna gloryfikacja, są nam zresztą dobrze znane: przeważająca liczba wrogów, atak szaleńczy i bohaterski, opłacony śmiercią najlepszych, lecz nagrodzony przez siły wyższe. Okazuje się że ten język jest zawsze i wszędzie ten sam.

Niezależnie od tego wszystkiego film wnosi z technicznego i reżyserskiego punktu widzenia jedną zdobycz: doskonale wyreżyserowany atak kawalerji. Pędząca końska i ludzka masa, wzrastające napięcie rozszalałego biegu, wpadające w ten rosnący gwałtowny rytm wybuchy, strzały i upadki — dały serję obrazów o niezwykłej dynamice plastycznej i dźwiękowej. To jest jedyne dokonanie tego filmu, zmontowanego pozatem rozwlekle i nielogicznie.

Stefanja Zahorska.

3-krotnie lepsze!

bo z wklęsłym szlifem
1. tworzącym idealnie równą krawędź ostrza,
2. nadającym ostrzu niezwykłą elastyczność,
3. zapewniającym szybkie, gładkie i przyjemne golenie.
TOLEDO

NIETYKALNI I NACHALNI

BAJKA

Tykalnych nietykalny
Splugawił morowiec.
Odparli mu nachalni:
— Za to nam odpowiedz!

— Nie odpowiem, nachalni! —
Krzyknął nietykalny —
Trudno by nietykalny
Był odpowiedzialny!

— Gdy wiesz, żeś nietykalny,
Hamuj obelg żar twych
Odrzekli. — I nie plugaw
Żyjących ni martwych!

Krzyknął: — Tłumie nachalny!
A tom się ubawił.
Gdybym nie był nietykalny
Tobym nie plugawił...

Marjan Hemar.

Nareszcie doczekaliśmy się pełnej publikacji listów Fryderyka Chopina. Brak tego rodzaju wyczerpującego wydawnictwa polska chopinologja odczuwała dotkliwie oddawna. Bo są to przecież materjały pierwszorzędnego znaczenia dla badaczy i wielbicieli genjalnej sztuki Chopina; z nich bowiem wyłania się w jakże ostrych, dobitnych rysach profil duchowy nie tylko Chopina-człowieka, ale i Chopina-artysty: jego usposobienie, charakter, temperament. Listy tedy nieśmiertelnego twórcy „Polonezów" i „Mazurków" posiadają wartość niezmiernie cenną; przedewszystkiem jako znakomity przyczynek do biografji mistrza, po wtóre jako źródło często b. ciekawych informacyj, dotyczących samych jego utworów.

...strona redakcyjna została powierzona wybitnemu muzykologowi dr. Henrykowi Opieńskiemu. Dzieło to... przedstawia możliwie najkompletniejsze zestawienie znanej do obecnej chwili, korespondencji Chopina.

Zebrano tu ilość listów imponującą— ponad trzysta! Autor poszedł tu po linji chronologicznej, co wpłynęło b. korzystnie na jasność i przejrzystość układu książki...

Kończąc tę krótką wzmiakę o najnowszym zbiorze listów Chopina (do którego zresztą jeszcze powrócimy), podkreślamy jeszcze bardzo staranną szatę graficzną. Na specjalną w tym względzie notatkę zasługują ilustracje w tekscie. Książkę, stanowiącą niezmiernie ciekawą dla wielbicieli Chopina lekturę, zamyka alfabetyczny (bardzo obszerny) spis nazwisk i imion ważniejszych osób, spotykanych w listach Chopina.

(„Muzyka" z dn. 31 grudnia ub. r.)

LISTY FRYDERYKA CHOPINA
w opracowaniu
HENRYKA OPIEŃSKIEGO
400 stron druku
23 rotograwjury
cena zł. 25.—
w oprawie zł.30.—
Nakład Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackich"
Skład główny:
KSIĘGARNIA J. PRZEWORSKIEGO

Brydż. Ten głosi dwa bez atu, przeciwnik zaś pięć pik.
Nagle światło gaśnie! Gra przerwana, rwetes, krzyk.
AUTOMAT „US" nie zawodzi — niespodzianek niema,
Przy nim światło wygrasz i wielkiego szlema.

WYSTAWY

SALON 1936 (Zachęta)

Katalog Salonu wymienia liczne nagrody, przeznaczone dla artystów, biorących udział w wystawie: najpierw nagrody Tow. Zachęty Sztuk Pięknych — dyplomy honorowe, medale złote, srebrne i bronzowe, następnie nagrody pieniężne — ministra spraw zagranicznych, ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, ministra przemysłu i handlu, miasta Warszawy, prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego, prezesa Banku Rolnego, prezesa P. K. O., I i II nagrodę członków Zachęty, I i II nagrodę im. Marji Lenckiej, I i II nagrodę im. Leokadji Łempickiej i t. d.

Toteż wszystkie wiekopomne arcydzieła, znajdujące się na wystawie, zostały nagrodzone.

Mieczysław Wallis.

Historja sztuki włoskiej

We Włoszech wychodzi dzieło, które jest bodaj największe z wszystkich jakie kiedykolwiek ukazały się w dziedzinie historji sztuki. A jest to dzieło jednego tylko człowieka i ma za przedmiot sztukę jednego tylko narodu. Jest to „Storia dell'arte italiana" przez Adolfa Venturi. Dotychczas liczy 21 tomów, a jeszcze nie ukończono XVI w., brak bowiem dotąd całej architektury tego stulecia, która ukaże się dopiero w następnych tomach. Są to tomy olbrzymie, liczące przeciętnie po tysiąc stron i nieomal tyleż ilustracyj. Samo malarstwo XVI w. rozwinięte jest na 7 413 stronach druku. A trzeba powiedzieć, że dzieło jest prawie zupełnie wolne od cytowanych tekstów i całego aparatu bibljograficznego i erudycyjnego. Zato uwzględnia artystów w najszerszym zakresie, od najsławniejszych do mało znanych. Nato aby takie dzieło było wogóle możliwe, trzeba było niezwykłego tematu i niezwykłego człowieka. W każdym razie żaden inny kraj europejski nie dałby takiego olbrzymiego materjału. I bodaj nikt nie zdolny byłby poza Venturim dokonać tego dzieła. Wielkość jego jest też powszechnie uznana, zarówno w kraju, gdzie jest senatorem królestwa, jak i poza granicami Włoch, gdzie jest prezesem honorowym międzynarodowego związku historyków sztuki.

Obecnie — już z datą 1937 — ukazał się t. XXI dzieła, obejmujący trzecią i ostatnią część rzeźby XVI w. Dotyczy końca wieku, w którym sztuka plastyczna Włoch zeszła już nieco ze swego najwyższego poziomu. Z wyjątkiem Vittoria i Giambologna niema tu już bodaj ani jednego nazwiska, któreby było popularne w szerszych sferach miłośników sztuki. A jednak na swych 1 000 stronicach i w swych 873 rycinach daje materjał niepospolicie ciekawy. Daje on obraz tej niezwykłej szybkości, z jaką w XVI w. rozwijała się sztuka: oto w następnem pokoleniu po szczycie odrodzenia widzimy już kształty całkowicie barokowe. Przez dwa stulecia sztuka Europy żyć będzie temi kształtami.

Szczególnie ciekawy jest tom ten dla historyka polskiego. Albowiem nie na szczytach renesansu, lecz dopiero w końcu XVI w. wytworzyły się najintensywniejsze stosunki artystyczne między Włochami a Polską.

wlt.

10 LAT TEMU

Nr. 62 otwiera wywiad Stef (ana Papée) z prof. Wł. L. Jaworskim na temat uniwersalizmu, którego nieżyjący już dziś znakomity uczony i polityk był gorącym wyznawcą. We współczesnej poezji polskiej reprezentantów uniwersalistycznego myślenia i odczuwania widział prof. Jaworski w Kasprowiczu i w Zegadłowiczu. Na zapytanie Stefa, czy zna osobiście Zegadłowicza, prof. Jaworski odpowiada: „Mam to szczęście że kilkakrotnie się z nim zetknąłem i posiadam kilka jego cennych listów... Jest to rzadko piękna i szlachetna dusza. Gdybym był mecenasem, uczyniłbym wszystko aby go wyrwać z jego ukochanego Gorzenia i rzucić w świat wielkich, ścierających się z sobą namiętności i uczuć... Szłoby... o to, żeby swój uniwersalizm mógł całem swem życiem i działaniem realizować, bo uniwersalizm — to właśnie tworzenie wspólne, łączne, nie dające się pogodzić żadną miarą z samotnością... Wiem że zjednać Zegadłowiczowi więcej czytelników niż ich daje pięćset sprzedanych egzemplarzy... jest rzeczą bardzo trudną, — ale na tem polega właśnie rola takich pism jak „Wiadomości Literackich", które tylokrotnie podnosiły swoją bezstronność i biły oklaski wszędzie tam gdzie była szczerość i talent". — Pozatem w numerze wywiad Marji Jehanne Wielopolskiej z bezrękim Ireneuszem Plater-Zyberkiem oraz Emila Zegadłowicza obrona jego przekładu „Fausta".

NAGRODY LITERACKIE

Edward Porębowicz otrzymał nagrodę literacką m. Lwowa za całość działalności

Roman Kołoniecki otrzymał nagrodę literacką m. Warszawy za całość działalności

Józef Łobodowski otrzymał nagrodę młodych Polskiej Akademji Literatury za tom „Demonom nocy"

Edward Boyé otrzymał nagrodę Polskiego Klubu Literackiego za całość działalności przekładowej, w szczególności za przekład „Don Kichota"

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich" w „Camera obscura"

CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszur, ulotek, czasopism (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującemi się do „Camera obscura" pod adresem: **Warszawa, Królewska 13,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne,** wystarczy surowy materjał. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura". Za najsmakowitszy kąsek danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości zł. 25.—,** która ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagroda podzielona została na pięć części. Otrzymują po **zł. 5.—**: p. **Stanisław Mandel w Przemyślu** (ul. gen. Iwaszkiewicza 51/7) za wycinek z „Jedności Wszechświatowej", p. **Lesław Wojtyga w Krakowie** (Dom Akademicki, al. Trzeciego Maja 5) za wycinek z „Samodzielności", p. **St. Lipiński w Łomży** (ul. St. Konwy, Internat gimn.) za wycinek z „Podchorążego", p. **W. Rydzewski w Warszawie** (Wspólna 44/3) za wycinek z „Kurjera Warszawskiego", p. **Janina Liwa w Warszawie** (Senatorska 6) za wycinek z „Naszego Przeglądu". Wszystkie wycinki dajemy z komentarzem redakcyjnym.

DESZCZ

Z odpowiedzi redakcji pisma „Jedność Wszechświatowa" (nr. 1):

M. Uźwij, Lwów. Piszecie do nas, aby Wam odpowiedzieć, czy jest rzeczą prawdziwą, aby nasza cała kula ziemska była kiedyś zatopiona na skutek kilkutygodniowych zlewów deszczowych? Otóż odpowiadamy Wam, że podobne rzeczy opierają się jedynie na księdze kodeksu bożego, a ta księga tyle prawdzie odpowiada — co nam księżyc ciepła mógł by dać. Ażeby nasza cała kula ziemska mogła być zatopiona, to musiałyby na nią spadać deszcze ze wszystkich innych ciał, znajdujące się w przestworzach niebieskich.

Abyście się mogli temu dobrze przekonać, to zróbcie sobie próbkę. Mianowicie, weźcie duże jabłko, które zawiera w sobie najwięcej soku i użyjcie takiego sposobu, aby nienaruszyć całości jabłka, i wyciągnąć z niego całkowicie sok, następnie ten sok zlejcie przypuśćmy do jakiegoś garnka i sprubójcie czy to jabłko w nim zatonie. Gdy to uczynicie, wówczas przekonacie się, że na całej kuli ziemskiej w żaden sposób potopu nie mogło być, gdyż nasza kula ziemska tyle wody w sobie zawiera, co takie przypuśćmy jabłko w sobie soku. Cześć.

LOGIKA

W piśmie „Samodzielność" (nr. 2) czytamy w streszczeniu (na podstawie stenogramu) odczytu ks. Trzeciaka w Krakowie:

Bo, proszę państwa, nie każdy Żyd jest komunistą, ale każdy komunista jest Żydem.

I odwrotnie.

RECENZJA Z KSIĄŻKI

W czasopiśmie „Podchorąży" (nr. 8) ukazał się artykuł p. t. „Wierzyński laureatem państwowej nagrody literackiej", z którego dowiadujemy się, że

zamknięciem i ostatecznym podsumowaniem dorobku kilkunastu lat poetyckiej twórczości Wierzyńskiego jest jego tom ostatni, nagrodzony „Gorzki urodzaj" —

oraz że

„Gorzki urodzaj" to wiersze o Piłsudskim, a więc — o Polsce —

a także iż

nie można traktować „Gorzkiego urodzaju" jako zbioru wierszy patetycznych, których problematyka ciąży przeważnie na ich czystej poetyckości.

Stanowczo nie można. A było proste wyjście: przeczytać książkę, o której się pisze artykuł, i dowiedzieć się, że tytuł jej brzmi: „Wolność tragiczna".

MAKSYMALNE KOBIETY

„Kurjer Warszawski" (nr. 23) podaje wzmiankę następującą:

Piątki u kobiet maksymalnych.

W klubie Stow. Kobiet z wyższym wykształceniem odbywają się w trzeci piątek miesiąca, o godz. 8 wiecz. zebrania literacko-towarzyskie.

Na ostatnim zebraniu tematem był: „On" i „Ona". O „onym" mówiły: M. Szpyrkówna — Akt strzelisty à propos „Miłość", Luc. Kotarbińska — Mężczyźni w teatrze, Rom. Dalborowa — Męskość (w przyzwoitym tego słowa znaczeniu) i Jadw. Kiewnarska — Mężczyzna z zasadami i t. d.

Mamy nadzieję, że nie tylko o „męskości", ale i o „onym" mówiono „w przyzwoitym tego słowa znaczeniu".

KOLEJNOŚĆ

Z „Opowieści o pięknej cesarzowej austrjackiej" („Nasz Przegląd", nr. 10):

Gdy syn cesarza Franciszka Józefa I, arcyksiążę Rudolf zastrzelił naprzód siebie a po tym swą młodziutką i głęboko go kochającą baronównę Vetserę, zostawił swej matce cesarzowej Elżbiecie list, w którym przepowiedział koniec Austrji.

ODSIECZ

„Dobry Wieczór" (nr. 339) donosi:

400 Sokołów z Ameryki w Niemczech

Na zlot sokolstwa polskiego, który ma się odbyć w Katowicach w lecie roku przyszłego, przybędzie z Pittsburga wycieczka sokolstwa w liczbie około 400 osób.

Mało!! 400 tysięcy powinno przyjechać, aby odebrać Niemcom Katowice!

LUX EX OCCIDENTE

„Polska Zachodnia" (nr. 249) donosi o czarnej hecy, rozpętanej przez rybnickich papuasów. Prezes miejscowego Tow. Czytelni Ludowych, p. Stodolak,

zaopatrywał bibliotekę w książki zakupywane w różnych księgarniach, a nie tylko w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, a nadto kupował książki nie tylko „polecone". Wobec tego i niezależnie od rozwiązania zarządu podobno istnieje zamiar spalenia dwu tysięcy dzieł, stanowiących własność bibljoteki T. C. L. w Rybniku a uznanych za „nie wskazane". Nie trzeba chyba dodawać, że są to książki nie pornograficzne, lecz naukowe.

Inicjatorom rybnickiego autodafé podsuwamy pomysł spalenia przy sposobności paru miejscowych jędz, wiedźm, czarownic i heretyków. Jak już — to już. Na całego!

KOBIETA FASZEROWANA PO ŻYDOWSKU

Organ „Zbudzona Polska" (nr. 10) donosi o następującym przepisie Talmudu:

„Wszystko, co mężczyzna (żyd) może czynić z kobietą, jest mu dozwolone. Może postępować z nią jak z kawałkiem mięsa, przyniesionem od rzeźnika.

Można ją jeść surową, pieczoną, gotowaną albo duszoną".

Sprawdziliśmy tę cytatę w podręcznym Talmudzie redakcyjnym. Nie jest ona ściśle podana. Po słowie „duszoną" następują słowa: „a także w occie, z chrzanem, w białym sosie oraz pod beszamelem".

Tłumaczyć trzeba ściśle.

DIEU, EST-IL FASCISTE?

Z artykułu p. Anieli Wawrowskiej w „Głosie Mazowieckim" (nr. 274):

Módlmy się i wierzmy, że potężna modlitwa, jaką zaniesiemy do Boga, przechyli szalę zwycięstwa w Hiszpanji na stronę sprawy Bożej.

ROZKŁADANIE

Czytamy w „Kurjerze Poznańskim" (nr. 550), że w Dobrzycy

jarmark tylko na konie i bydło odbędzie się w środę, dnia 2 grudnia. Rozkładanie towaru zamiejscowym kramarzom niedozwolone.

Bydło prosi uprzejmie, aby i zamiejscowi kramarze mogli je rozłożyć, bo ono zdaleka, więc bardziej zmęczone niż miejscowe.

IKAC A POEZJA

„Ilustrowany Kurjer Codzienny" (nr. 293) nie wie, kto jest Antoni Szandlerowski, i wykpiwa artykuł o zmarłym księdzu-poecie, zamieszczony w jednem z pism. Ikacunio nazywa Szandlerowskiego

nieznanym bliżej poetą.

Poeci znani Ikacuniowi bliżej — to Zbierzchowski, Zechenter i już.

ZAWIŁOŚCI STYLU

Pan Zygmunt Jakimiak opisał w „Podbipięcie" (nr. 3) pierwszą podróż zagranicę. W Belgji był m. in. na zebraniu jakiejś odmiany metodystów i gdy rozpoczął dyskusję na tematy religijne,

członkowie społeczności chrześcijańskiej pozostali uparci, a nawet uciekli się do szykan, z czego natychmiast skorzystałem, żeby się pozbyć ich towarzystwa, co też uskuteczniłem przez wyjście.

Czynność, „uskutecznioną" przez p. Jakimiaka, można wyrazić o wiele prościej, zapomocą jednego słowa.

BRAMKA UST

Magazyn koncernu krakowskiego „A s" (nr. 47) zamieścił serję fotografij, przedstawiających pocałunki na filmie. Dodano do tego artykuł, w którym czytamy:

...inni artyści upodobali sobie znów inne miejsca, np. szyję. Tak całuje Karol Laughton, genjalny „Henryk VIII" na całej serji swych żon. Pocałunek sportowców jest może najbardziej popularnym na ekranie: każdego przecież porywa, gdy aktor dobrze strzelił bramkę ust pięknej kobiety!

Całuj mnie w bramkę.

ICHTJOLOGJA

Z okólnika T 137 Ministerstwa Skarbu z dn. 4 listopada 1936 r. (L. D. IV. 27152. 2. 36) „w sprawie wyjaśnień do taryfy celnej przywozowej":

Na podstawie art. 13 ust. 4 prawa celnego (Dz. U. R. P. Nr. 84, poz. 610 z r. 1933), Ministerstwo Skarbu wyjaśnia co następuje:
poz. 254.

Klepfisze są to ryby osobno nie wymienione, przeważnie dorsze, nie zawierające wnętrzności, solone, rozpłaszczone i suszone.

Stokfisze są to ryby osobno nie wymienione, przeważnie dorsze nie zawierające wnętrzności, rozpłaszczone i suszone.

Czyli że klepfisze są to stokfisze, przeważnie dorsze. Wyjaśnienie zaś także nie zawiera wnętrzności, jest rozpłaszczone, solone, suszone i przeważnie... gorsze.

ŁACINA

W „Dzienniku Urzędowym Kuratorium Okręgu Warszawskiego" (nr. 9) czytamy przemówienie p. kuratora Ambroziewicza.

Na frontonie szkół związanych z imieniem Józefa Piłsudskiego, jako przestroga winna być umieszczona dewiza: „Non haberi, sed esse" — „Nie coś mieć, ale czymś być".

Na frontonie Kuratorjum powinna być umieszczona dewiza: „Discite, curatores, linguam latinam!" — bo „non haberi" znaczy (dosłownie) „nie być mianym", t. j. nie znajdować się w czyimś ręku. Z łaciny — niedostatecznie.

MIŁY PAN MIKUSAK

Zamieszkały w Równem dzielny mistrz igły i nożyc, p. Piotr Mikusak, jest marzycielem: lubi ulatywać na skrzydłach fantazji w dalekie, egzotyczne kraje i napawać się dźwiękiem obcych słów. Ta sympatyczna cecha p. Piotra Mikusaka znalazła pełny wyraz w ulotce reklamowej:

Nowo-polski zakład krawiecki militarno-cywilny „de Bernardi". Sz. Publiczności daje do wiadomości, że po długoletnim pobyciu zagranicą i w Ameryce na studiach kultury krawieckiej osiedliłem się jako mistrz de La Grand Academia mundiel de Bernardi, w Buenos Aires. i t. d.

...Gdy nad Równem zaświeci blady księżyc, gdy militarno-cywilna robota jest już ukończona, miły p. Mikusak przymyka oczy i szepce sam do siebie: „Estramadura di grand elegantos tajlores of Rio de Janeiro academicos frituros militares mundiales"...

I gdy kończy ten szept uroczy — nad Równem świeci już słońce.

Z kilku stron zwrócono się do nas z zapytaniem, dlaczego kierownictwo działu „Camera obscura" nie zawsze nagradza NAJLEPSZE z ogłoszonych wycinków. Otóż większość wycinków pochodzi z mterjałów redakcyjnych a nie z nadsyłanych przez czytelników; te wycinki zaś o nagrodę ubiegać się nie mogą.

W poprzednim 8-stronicowym numerze (691) „Wiadomości Literackich" (10 ilustracyj): **J. N. Miller:** Renesans katolicki a rozwój społeczny. — **André Gide,** przełożył **J. E. Skiwski:** Powrót z Z. S. R. R. Wiedza o zagranicy — Nowa arystokracja — Pogarda dla biednych — Duch „kontrrewolucji" i duch sterroryzowany — Kult Stalina — Pisarz niewolnikiem ustroju — Przemówienie które nie zostało wypowiedziane — „Contra spem spero". — **Antoni Słonimski:** Dwa końce świata. Powieść. Rozdział szósty, w którym bohater naszego opowiadania ulega modnej chorobie wspomnień dziecinnych. — **Tadeusz Żeleński (Boy):** Pan teść. — **Emil Breiter:** Bez ukłonu. — **Bruno Schulz:** „Otawa" Giona. — **Stanisław Rogoż:** Fragmenty pism Orkana. — **Bolesław Dudziński:** Uroda Jugosławji. — **Antoni Słonimski:** Kronika tygodniowa. — **Mieczysław Wallis:** Wystawy. — **Halina Lenczewska-Bormanowa:** Muzeum Narodowe dla wszystkich. — **Stefanja Zahorska:** Nowe filmy. — Interesująca sztuka Denisa Johnstona w inteligentnej reżyserji Karola Borowskiego. „Księżyc w żółtej rzece" w Teatrze Nowym. — **jam.:** Przegląd prasy. — Camera obscura. — Rozrywki umysłowe. — **Marjan Eile:** Aktualne arcydzieła malarstwa. „Wygnanie z raju" (sowieckiego) Dorégo. — Echa zagraniczne państwowej nagrody literackiej. — 10 lat temu.

KORESPONDENCJA

NIEŚCISŁY WYWIAD

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

Przeczytawszy w „Dzienniku Popularnym" wywiad przeprowadzony ze mną w sprawach hiszpańskich, **muszę stwierdzić,** doprawdy **z wielką przykrością,** jego **nieścisłość.** Całe ustępy, jak np. moja odpowiedź na zadane mi pytanie o prześladowaniu religji lub księży w Hiszpanji, jak uwagi o gen. Franco, zostały tu pominięte. Nie zajmę się dalszem wyliczeniem: jeśli kogo interesować mogą moje poglądy w tych sprawach, sądzę że znajdzie je najlepiej wyrażone w moich własnych artykułach. Wyrażam jednak ubolewanie że przeprowadzając ten wywiad **zaniedbano,** jak to jest jednak powszechnie w zwyczaju, uzgodnić jego tekst z interviewowanym. Sądzę również że mój paromiesięczny a szczery wysiłek zrozumienia dzieła i środowiska, tak bardzo mi obcego, **zasługiwał** na większe uszanowanie.

Przykry dla mnie, mylący dla Czytelników, a już **raczej szkodliwy niż pożyteczny dla sprawy której chciano tem służyć,** incydent nie zmieni jednak w niczem objektywizmu, z jakim chcę nadal studiować sprawy hiszpańskie. Liczne zaś dowody poszanowania przekonań obcego dziennikarza, ułatwienia w pracy, swoboda ruchów, z jakiei się cieszyłem **podczas całego mego pobytu w tym kraju,** potrafi niewątpliwie zatrzeć mi i ostatnie, mniej już miłe, wspomnienie.

Ksawery Pruszyński (Paryż).

Książki nadesłane

Bibljoteka Umiejętności Prawnych i Politycznych pod redakcją **Artura Millera,** prokuratora Sądu Najwyższego, i **Stanisława Tylbora,** adwokata. Prof. dr. **Hans Kelsen.** O istocie i wartości demokracji. Autoryzowany przekład **Felicji Turynowej.** Warszawa, (1936); str. 137 i 3nl.

Dydym Kosturek. Rymy ucieszne. Lwów, 1937; str. 2nl. i 37 i 1nl.

Alina Kwiecińska. Przygody Mateuszka u Duszka-Kocmołuszka. Wesoła historyjka dla dzieci. Okładka i ilustracje **Haliny Maszyńskiej.** Warszawa, (1936); str. 40.

Alice Lyttkens. Nie przyjdę na kolację! Powieść. Tytuł oryginału „Kommer Inte till Middagen". Autoryzowany przekład ze szwedzkiego **Haliny Gądek.** Warszawa, (1936); str. 253 i 3nl.

L. Pasynkow. Amina, dziewczę gór. Powieść. Przełożył z rosyjskiego **Kazimierz Maliszewski.** Warszawa, (1936); str. 283 i 1nl. i 4bbl.

Henryk Pietrzak. Sześć lat wojny (pamiętnik polskiego żołnierza). Legjony — front włoski — boje polsko-ruskie — wojna polsko-bolszewicka 1914 — 1920. Łódź, 1936; str. 245 i 3nl. i tabl. 12.

Edouard de Pomiane, profesor w Institut Scientifique d'Higiène Alimentaire w Paryżu (dr. **Edward Pożerski).** Nauka przyrządzania potraw w sześciu lekcjach, czyli wstęp do kuchni domowej. (Z portretem autora). Z 100 wydania francuskiego przetłumaczył **R. P. i C. T.** Przedmowę napisał **J. K. Parnas,** profesor Uniwersytetu J. K. we Lwowie. Warszawa, 1936; str. 205 i 3bbl.

Titayna. Kobieta wśród łowców głów. Z upoważnienia autorki przełożyła z francuskiego **Halina Mosińska.** Okładkę projektował **Wit Gawęcki.** Warszawa, 1937; str. 171 i 1nl. i 4bbl.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Prace Komisji Historycznej. Nr. 4. Ogólnego zbioru nr. 13. Ks. dr. **Ludwik Zalewski.** Z dziejów partyzantki r. 1833 w województwie lubelskiem. (W setną rocznicę). Lublin, 1934; str. XII i 140 i tabl. 5.

Bibljoteka Wiedzy. Tom 26. **Anton Zischka.** Japonja. Z 25 ilustracjami i dwiema mapami. Przełożył inż. **Jan Furuhjelm.** Warszawa, (1936); str. VIII i 415 i 1nl. i tabl. 12.

Zygmunt Żegilewicz. Projekt reformy alfabetu polskiego. Warszawa, 1936; str. 22 i 2nl. i tabl. 1.

PRENUMERATA wraz z „Pologne Littéraire" z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 szpalty 60 groszy za tekstem 80 groszy w tekście. Kolumna ma 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16 — 17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 — 19. Konto w P. K. O. 8.515.

Drukarnia Galewski i Dau, Warszawa, Ordynacka 6.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI